

SWIAT



P A Ł A C
KULTURY I NAUKI

Patrz fotoreportaż
Wł. Sławnego na str. 12-13

SWIAT

NASZA KRONIKA

BYL przed wojną jeden komisarz policji — naukowiec. A mianowicie naukowo zajmował się zagadnieniami policyjnymi. Wśród innych zagadnień starał się on rozstrzygnąć problem, ilu w Polsce powinno być policjantów. Stworzył on teorię pola władzy, opierającą się na założeniu, że każdy policjant rozciąga wokół siebie poczuć władzy. Dyskutowano wówczas w kołach policyjnych jak wielkie jest to pole. Chodziło bowiem o to, ażeby cały kraj pokryć takimi polami władzy. Inaczej mówiąc, żeby zaangażować tylu policjantów, żeby sanacyjni ministrowie, fabrykanci, bankierzy i obszarnicy mogli nareszcie czuć się spokojnie. Chodziło, jeśli dobrze pamiętam, właśnie specjalnie o dokładne i szczelne pokrycie taką siecią Górnego Śląska. Ów komisarz policji — naukowiec, był nawet, jeśli się nie mylę, jeśli pamięć nie zawodzi, komendantem wojewódzkim policji na Katowice i województwo.

O ile pamiętam, to granatowo-policyjni „naukowcy” nie doszli do żadnych ostatecznych wniosków i podsumowań. To znaczy, że ostatecznie nie zostało stwierdzone, ilu ma być w Polsce policjantów, żeby naród ani zipsnął. Być może, iż dalsze badania w tej dziedzinie prowadzi się nadal w Londynie i być może, iż i na ten temat istnieją różnice zdań między „prezydentem” Zaleskim i „premierem” Mackiewiczem z jednej strony, a „generałem” Andersem i Sosnkowskim — z drugiej. Obawiam się, że spory do niczego nie doprowadzą.

Wydaje mi się, że problem, postawiony przez komisarza policji niezapamiętanego nazwiska, pozostanie tak nierozstrzygnięty jak kwadratura koła. Bardzo on przypomina tę kwadraturę, albo też problem perpetuum mobile. Sądzę, że wieloletni spór „naukowy” w kołach polskiego faszystu można by rozstrzygnąć prosto, stwierdzając, że nie ma tak wielkiej liczby policjantów, która by mogła na wieki zabezpieczyć władzę dla faszystu, kapitalizmu, bądź dla Zaleskiego, bądź dla Andersa.

NA ostatniej sesji naszego Sejmu także mówiło się o czymś, co można by nazwać podstawowym terenem działania władzy. Stwierdzono, iż po dokonaniu nowej reformy władzy, po wprowadzeniu rad gromadzkich najniższa komórka władzy zamiast dotychczasowych 5 do 18 tysięcy mieszkańców obejmie przeciętnie trzy tysiące ludzi. Dotychczas przeciętny obszar, objęty ową podstawową komórką władzy, wynosił przeciętnie 98 kilometrów kwadratowych, a były gminy liczące 400 km. kw. Obecnie obszar podstawowy wynosić będzie około 50 kilometrów kw. Dotychczas obywatel na wsi do siedziby swej władzy miał przeważnie około dziesięciu kilometrów drogi, a teraz będzie

miał przeciętnie pięć kilometrów.

Jednym słowem: o połowę zmniejszyła się odległość władzy od obywatela. Tylko należy inaczej to powiedzieć, niż mówił granatowy komisarz policji: nie chodzi o odległość władzy od obywatela, ale o odległość obywatela od władzy. Albowiem sam obywatel, cywilny człowiek w marynarce, w spodnicy i swetrze, w sukience, w kombinezonie roboczym, w kożuchu czy w jesionce, a nie żaden mundurowy — granatowy stanowi źródło i czynnik władzy. Rzecz idzie więc w odwrotną stronę: nie chodzi o to, by z góry narzucać władzę, ale by od dołu szła ta władza, szeroka fala ludowego władania Ojczyzną.

TAK to już jest nie od dziś, i nie będzie od jutra, ale już jest od lat dziesięciu, a jeszcze pełniej od lat przeszło czterech, gdy to radom narodowym nadano pełnię praw władzy ludowej, likwidując równoległe czynniki administracyjne. Przy obecnej reformie chodzi nie tylko o zmniejszenie obszaru podstawowej komórki władzy ludowej na wsi. Likwidując rady gminne i wprowadzając gromadzkie rady narodowe, składające się wprost na powiat, likwidujemy pozostałości jednoosobowej władzy sołtysa, nieraz wyrażającej się w kumoterskie rządy jednego człowieka lub kliki. Stwarzamy władzę ludową we wsi jeszcze bardziej realną i bliską ludziom niż była dotychczas.

ALE na tym nie koniec całej wielkiej sprawy. Będziemy mieli w najbliższym czasie wybory do rad narodowych w całym kraju, w mieście i na wsi, na wszystkich ich szczeblach. Do tych rad mamy wiele słusznych pretensji: o źle zorganizowany handel, o zdrowie, o szkolnictwo, o bruki, o utrzymanie domów, o przemysł miejscowy i o tysiąc podobnych rzeczy. Są to w dużej części pretensje słuszne. Nowe rady narodowe będą musiały pilnie wsłuchiwać się w żądania ludności i starać się je wypełniać.

Musimy w toku kampanii wyborczej ostro krytykować rady narodowe. O jednym tylko nie wolno nam zapominać. O tym, że nie wolno nam używać zaimek „oni”. Wszyscy wiemy, że władza w Polsce należy do ludu. Tylko każdy z nas z osobna nie bardzo jeszcze wszedł w skórę współwładcy Polski. Wybory do rad narodowych przypominają nam tę najważniejszą, podstawową sprawę państwa ludowego: każdy z nas współgospodarzem, współwładzą swojego kraju. Każdy z nas ma prawo krytykować swoje rady. Ale musi także i siebie zapytać choć w duchu, choć w samotności:

— A co ty zrobiłeś, żeby było lepiej w twoim mieście, gminie, powiecie i wsi?

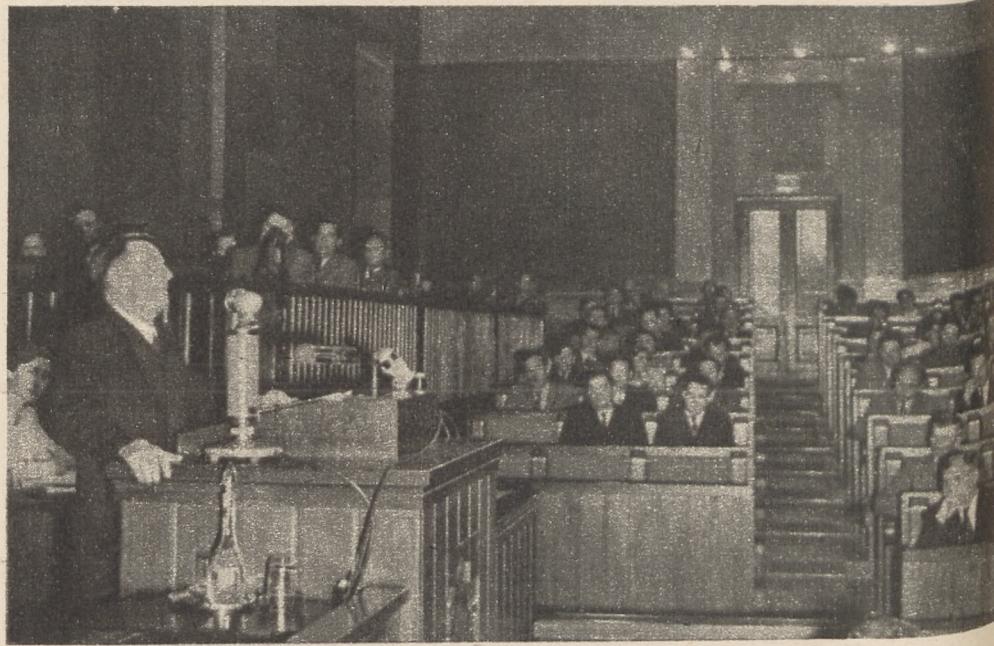
JAN SZELAĞ

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

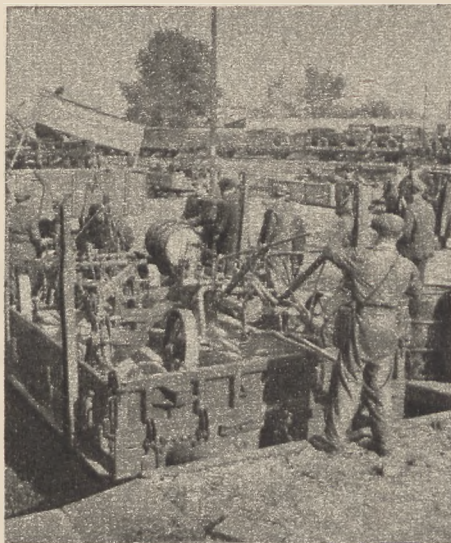
Z KRAJU I ZE SWIATA

SEJM PRL OBRADUJE



CAF
Członek Rady Państwa, Roman Zambrowski, referuje na V sesji Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej projekty ustaw o reformie podziału administracyjnego wsi, o powołaniu gromadzkich rad narodowych oraz o ordynacji wyborczej do rad narodowych: „Wcielanie tych ustaw w życie sprawi — powiedział w swym referacie mówca — że podstawa władzy ludowej — sojusz robotniczo-chłopski — zyska na sile”.

TRAKTORY ZAORZA UGORY



CAF
Przyszła kolej na walkę z odłogami w woj. łódzkim. Na „front” wyrusza kilkudziesięciu traktorzystów z ośmiu POM-ów województwa. Oto ładowanie sprzętu w POM-ie w Bednie

ODWIEDZINY I SPOTKANIA



CAF
Miesiąc Przyjaźni Polsko-Radzieckiej to miesiąc nawiązywania bezpośrednich, serdecznych kontaktów. Radziecki scenarzysta Papawa i młodzież Wybrzeża w Domu Rybaka we Władysławowie

POLSCY ARTYŚCI W ZWIĄZKU RADZIECKIM



CAF
W Związku Radzieckim bawi zespół Teatru Polskiego i Kameralnego, który da szereg przedstawień w Moskwie i Kijowie. Publiczność moskiewska serdecznie przyjęła „Juliusza i Ethel”, „Męża i żonę” i „Lalkę”. Zdjęcie: pożegnanie w Warszawie

PIĄTA ROCZNICA PROKLAMOWANIA CHIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ



MAO TSE-TUNG

NA TEMAT WIELKIEGO MARSZU

Zimne jak śnieg obłoki przelatują w górze,
 gęsi lecą w południa ojczyste krainy.
 Jeśli w końcu przy Wielkim nie staniemy Murze,
 to znaczy, że jednak nie dość miłujemy Chiny.
 Tysiące li na palcach co dzień dodajemy,
 zachodni wiatr tnie płótna sztandarów z wysoko.
 Idąc w kurzu powrozy skręcone niesiemy,
 by spętać nimi cielsko Zielonego Smoka.

Spolszczył ANDRZEJ WIRTH



W przeddzień wielkiego święta narodu chińskiego i wszystkich ludzi dobrej woli na świecie — Piątej Rocznicy Proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej — pierwsza sesja Ogólnochińskiego Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych jednomyślnie uchwaliła Konstytucję Chińskiej Republiki Ludowej. Po raz pierwszy od kilku tysięcy lat istnienia państwa chińskiego miliony chłopów i robotników chińskich decydują o kierunku swego „Wielkiego Marszu”, którego celem jest zbudowanie socjalizmu. Zdjęcia: Przewodniczący Mao Tse-tung wśród deputowanych Pekinu i Tientsinu oraz grupa kobiet deputowanych z prowincji Kiangsi i Kweiczow.

LUD PARYŻA DOMAGA SIĘ KONFERENCJI CZTERECH MOCARSTW



Kiedy Zgromadzenie Narodowe odrzuciło układ o „Wspólnocie Antyeuropejskiej”, zaczęło się poszukiwanie „rozwiązań zastępczych” przez Edena, Dulles i Adenauera. Lud francuski natomiast domaga się konferencji czterech mocarstw zgodnie z propozycjami radzieckimi. Oto ludność Saint-Quen manifestuje na cześć odrzucenia EWO, żądając sprawiedliwego rozwiązania problemu niemieckiego (zdjęcie prawe). 21 września obchodził 85-urodziny urodzin tow. Marcel Cachin, jeden z założycieli Komunistycznej Partii Francji — długoletni kierownik pisma „L'Humanité”, nieustraszonego bojownika sprawy socjalizmu i pokoju (zdjęcie lewe)



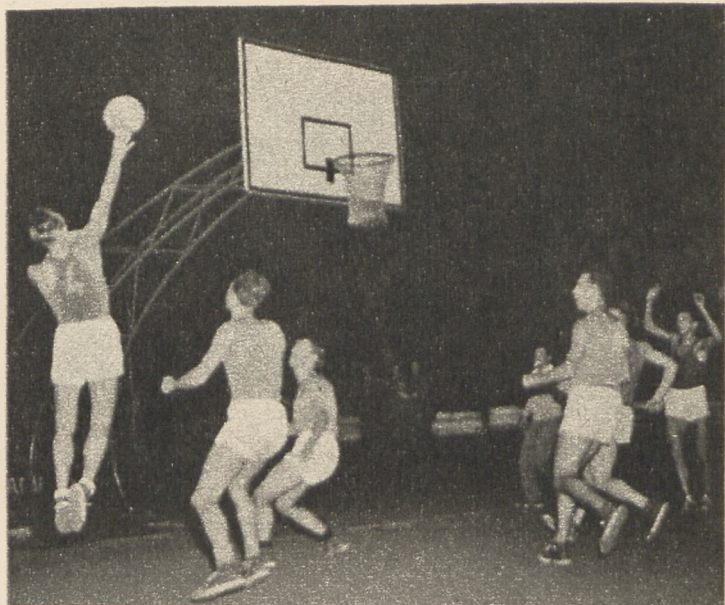
„BOHATEROWIE” SKANDALU CHADECJI WŁOSKIEJ



Keystone

Wypadki ostatnich tygodni we Włoszech stały się „gwoździem do trumny” reputacji rządzącej partii chadeckiej. Syn (byłego dziś) ministra spraw zagranicznych, Piero Piccioni, oraz Ugo Montagna, „dystrygowany” handlarz narkotykami, zostali aresztowani za udział w morderstwie Vilmy Montesi.

KOSZYKARZE BULGARSCY W POLSCE



CAF

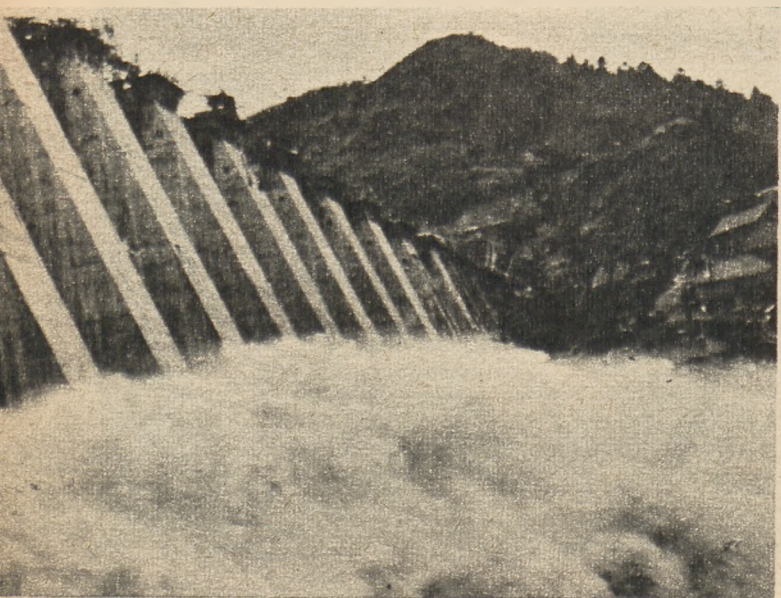
Pierwsze swe spotkanie w Polsce rozegrał bułgarski zespół Lokomotiw z Sofii z reprezentacją zrzeszenia „Kolejarz”. Po zakończonej grze zwyciężyli koszykarze bułgarscy w stosunku 58:52



„Głównymi zadaniami państwa w okresie przejściowym są: stopniowe socjalistyczne uprzemysłowienie kraju i stopniowe zakończenie przeobrażeń socjalistycznych w rolnictwie, rzemiośle oraz w kapitalistycznym przemyśle i handlu” (Konst.)



„Coraz ściślejsza współpraca gospodarcza będzie prowadzić do podniesienia poziomu gospodarki obu naszych krajów”. (Czou En-lai w Warszawie). Na zdjęciu: Polska Wystawa w Pekinie



Nowa zaporę na rzece Pi stwarza potężne źródło energii elektrycznej (pół miliona m³ wody). Znikła groźba powodzi



„Naród nasz utworzył szeroki, zjednoczony front ludowo-demokratyczny...” (Konst.). Mao Tse-tung i Liu Szao-tsi



„Państwo przy pomocy planów gospodarczych kieruje rozwojem i przekształ-

W POC

B

YŁ dzień 1 października roku 1949. Na balkonie Pałacu Cesarskiego w Pekinie stał syn chłopca ze wsi Czangsza. Dzieciństwo swoje spędził na polu obszarnika. Dni — od świtu do zmierzchu na plantacjach ryżowych, noce — pochylony nad hieroglifami. Miasto, na które spoglądał, powstało dwa i pół tysiąca lat temu. Pałac był niedostępną dla ludu siedzibą cesarzy różnych dynastii chińskich i mandżurskich.

Od wieków na polach ryżowych marli wynędzniali chłopcy i spracowane do śmierci dzieci. Od wieków miliony ludzi ginęły w falach Złej Rzeki — Yao-Czan-Ho i Niebieskiej Rzeki — Yang-Tse-Kiang, które co dwa lata zatapiały miliony hektarów uprawnej ziemi. Od wieków kobiety chińskie ugięły się pod ciężarem niewoli.

Kiedy chłopski syn z wioski Czangsza ukazał się na balkonie cesarskim, ogromny plac przed Tien An Men zabrzmiął okrzykami setek tysięcy ludzi: Mao Tse-tung Wang tze! Człowiek na balkonie patrzył na falujące wzruszeniem mrowie ludzkie. Kiedy przebrzmiały okrzyki, powiedział do mikrofonu: „W imieniu Konsultatywnej Rady Politycznej i ludu chińskiego ogłaszam powstanie Chińskiej Republiki Ludowej...”

Plac przed Tien An Men zaległa cisza. Pięćset tysięcy ludzi patrzyło w napięciu, jak wznosił się na maszcie sztandar z czerwonego jedwabiu, na którym złocono się pięć gwiazd.

Czwierć wieku wcześniej umierał w Pekinie „ojciec ojczyzny”, Sun Jat-sen. W dwa dni po jego śmierci, 11 marca 1925 r., moskiewska „Prawda” opublikowała jego list do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, który zaczynał się od słów: „Złożony śmiertelną niemocą, myślę o Was, o losach mojej partii i mojego kraju...” Sun Jat-sen był przywódcą burżuazyjnej antyfeudalnej i antyimperialistycznej rewolucji, która doprowadziła do obalenia monarchii chińskiej. Był założycielem pierwszej chińskiej organizacji politycznej „Związku Odrodzenia Chin” i organizatorem burżuazyjnej partii rewolucyjnej — Kuomintangu, która pod jego kierownictwem zawarła sojusz z Partią Komunistyczną. Zgromadzenie przedstawicieli południowych prowincji ogłosiło go pierwszym Prezydentem Republiki Chińskiej. Jako szczerzy patriota i rewolucjonista dożył w wielkiej Rewolucji Październikowej drogową postępu ludzkości. Sun Jat-sen pisał przed śmiercią do radzieckich przyjaciół:

„Wierzę niezachwianie w trwałość poparcia, jakiego dotychczas udzielaliście mojemu krajowi. Żegnając się z Wami, drodzy Towarzysze, chcę wyrazić nadzieję, że wkrótce nastanie dzień, kiedy ZSRR powita w wolnych, potężnych Chinach przyjaciela i sojusznika i że w wielkiej walce o wyzwolenie uciskanych narodów świata obaj sojusznicy krocząc będą ramię przy ramieniu ku zwycięstwu”.

Przywódcę partii, którą założył Sun Jat-sen, zdradził sprawę rewolucji. Grupa generałów z Czang Kai-szekiem na czele, reprezentująca interesy wielkich feudałów, bankierów, burżuazji kompradorskiej — pośredniczącej w wydaniu bogactw chińskich obcemu kapitałowi — zerwała przymierze z Komunistyczną Partią Chin. Czang Kai-szek, korzystając z usług swych doradców, generałów niemieckich von Seecka i von Falkhausena, rozpoczął ofensywę przeciwko Armii Ludowej. Zadecydowały interesy klasowe „czterech rodzin”: Czang Kai-szeka i najbliższych krewnych jego żony, w których rękach znajdowało się 70 procent kapitału chińskiego. Przymierze z ludem zostało zastąpione przymierzem z imperializmem.

W 1924 r. Partia Komunistyczna liczyła tysiąc członków. Długie zmagania dzielili „tyśiąc walecznych” od owej chwili, kiedy Sekretarz Partii obwieścił 1 października 1949 r. narodziny Chin Ludowych.

Jednym z etapów tych bohaterskich zmagania był Wielki Marsz Północno-Zachodni. Czerwona Armia przebyła pieszko dziesięć prowincji, maszerując nocą, a kryjąc się w ciągu dnia przed tropiącymi ją wojskami



cenieniem gospodarki narodowej oraz nieustannie rozwija siły produkcyjne... (Art. 15). Dzięki rozbudowie kanałów nawadniających prowincja Szeczuan stała się bogatszą prowincją nowym właścicielom. Od setek lat woda była monopolem bogaczy

HODZIE LUDZKOŚCI

nacjonalistycznymi. Szlak dwudziestu tysięcy km. prowadził przez pustynie i szczyty górskie, przez obszary zamieszkałe przez różne narodowości, którym oddziały ludowe wniosły pierwszą wieść o braterstwie ludów Chin.

Szeregi Armii Czerwonej rosły w miarę jak topniały oddziały nacjonalistyczne. W chwili inwazji japońskiej na Chiny, w 1937 r., armia rewolucyjna liczyła już pół miliona żołnierzy, a Partia Komunistyczna — osiemset tysięcy członków. W obliczu najazdu japońskiego siły rewolucyjne zmusiły armię nacjonalistyczną do zawarcia przymierza przeciwko okupantom; przymierza, które zostało ponownie zerwane przez Ciang Kai-szeka, natychmiast po zakończeniu drugiej wojny światowej. Wojska Kuomintangu rozpoczęły nową ofensywę przeciw armii rewolucyjnej. Rozpoczęła się krwawa i nieubłagana wojna domowa.

Imperializm amerykański nie żałował pieniędzy, nie szczędził broni, nie skąpił rad. Sekretarz Stanu, Dean Acheson, „tłumaczył się” Kongresowi z klęski nacjonalistów chińskich, przyznał, że „poza kredytami rząd USA sprzedał rządowi chińskiemu sprzęt wojskowy i cywilny wartości miliarda dolarów”. Jednak „zwycięstwo odniosły wewnętrzne siły chińskie, na które kraj nasz dalece nie mógł wpływać” (Cytat z „Niebieskiej Księgi” Departamentu Stanu).

Przykazanie Sun Jat-sena: „Musimy obudzić masy i zjednoczyć się we wspólnej walce ze wszystkimi narodami, które odnoszą się do nas jak do równych sobie” — zostało spełnione. Zrealizowała je Komunistyczna Partia, wprowadziła je w czyn miliony robotników i chłopów chińskich, tysiące intelektualistów, patriotyczna część burżuazji narodowej.

1 października 1949 lud chiński święcił narodziny ludowego państwa. 2 października nadeszła wiadomość o uznaniu Chińskiego Rządu Ludowego przez Rząd Radziecki.

„Naród nasz od dziś wchodzi do wielkiej rodziny narodów świata milujących pokój i wolność... Naród nasz nigdy więcej nie będzie upokorzony...” — mówił Mao Tse-tung na sesji Ludowej Konsultatywnej Rady Politycznej Chin, która proklamowała utworzenie Chińskiej Republiki Ludowej.

Rozpoczęło się gigantyczne dzieło przebudowy kraju. Siła człowieka po raz pierwszy ujarzmiła „złe” chińskie rzeki, szyny kolejowe po raz pierwszy przecinają bezkresne pustynie, miliony dzieci po raz pierwszy idą do szkół. 1 maja 1950 r. wydano Prawo Małżeńskie, prawo kobiet chińskich do szczęścia i swobodnego życia.

W swoim nowym Wielkim Marszu naród chiński pokonał tysiące lat niewoli feudalnej i imperialistycznej.

W przeddzień piętej rocznicy wyzwolenia Pierwsza Sesja Zgromadzenia Przedstawicieli Ludowych uchwaliła Konstytucję Chińskiej Republiki Ludowej.

Jej pierwszy artykuł głosi: CHIŃSKA REPUBLIKA LUDOWA JEST PAŃSTWEM DEMOKRACJI LUDOWEJ, KIEROWANYM PRZEZ KLASĘ ROBOTNICZĄ I OPARTYM NA SOJUSZU ROBOTNICZO-CHŁOPSKIM.

Wstęp do Konstytucji ujmuje w zwięzłe słowa doniosłą treść pięciu lat, które zmieniły oblicze świata:

CHINY „NAWIAZAŁY JUŻ STOSUNKI NIEWZRUSZONEJ PRZYJAŹNI Z WIELKIM ZWIĄZKIEM SOCJALISTYCZNYCH REPUBLIK RADZIECKICH I Z KRAJAMI DEMOKRACJI LUDOWEJ; Z KAŻDYM DNIEM ZACIEŚNIA SIĘ PRZYJAŹŃ NASZEGO NARODU Z MIŁUJĄCYMI POKÓJ NARODAMI CAŁEGO ŚWIATA”.

Naród koreański, którego ziemi własną krwią bronili ochotnicy chińscy, narody Indii, Burmy, Indonezji, widzące w Chinach symbol wyzwolenia Azji, wszystkie milujące pokój ludy świata radują się dziś świętem chińskich braci.

D. B.



„Niewzruszona przyjaźń ze Związkiem Radzieckim”. Premier Czu En-lai przed Mauzoleum Lenina i Stalina, w lipcu br.



„Pomniacie naszą sympatię i poparcie, a my posiadamy Wasze... Walczymy o ten sam cel”. (Czu En-lai w Warszawie)



„Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy siły z zewnątrz mogły dowolnie decydować o losach Azji” (Czu En-lai i Nehru)



„Współpraca zamienia kamień w jaspis” — mówią Chińczycy... Przyjaźń łączą Chiny z Tybetem: Dalaj Lama w Pekinie



„Wszystkie narodowości (w Chińskiej Rep. Lud. — red.) mają nieskrępowane prawo zachowania lub zmiany swych obyczajów i zwyczajów” (Art. 3). Wieść o Konstytucji dociera do chłopów spółdzielców autonomicznego rejonu koreańskiego w prow. Kirin



u Lucjana RUDNICKIEGO

HIERONIM MICHALSKI

Fot.: J. KOSIDOWSKI

ZYCIE i twórczość pisarza — jakże różnorodny bywa związek tych dwu dziedzin i jakże często znamieny dla charakteru twórcy i dzieła wzajemny ich stosunek do siebie! Sławny dramaturg i powieściopisarz włoski, Luigi Pirandello, odpowiedział na ten temat swojemu wydawcy z okazji przygotowania pism zbiorowych następująco: „Pragnie pan kilku danych biograficznych o mnie, a ja jestem niezwykłe zakłopotany, aby dostarczyć je panu, i to z tej prostej racji, że zapomniałem żyć, zapomniałem do tego stopnia, że nie mogę nic, ale to absolutnie nic powiedzieć o moim życiu, jak gdybym go, być może, wcale nie przeżył, lecz tylko wypełnił pisaniem”.

Wyobraźmy sobie, że ktoś zechciałby zwrócić się w podobny sposób o dane biograficzne do Lucjana Rudnickiego. Sprawa byłaby bardzo prosta. Autor „Starego i nowego” posłałby jako odpowiedź pierwszy i drugi tom swojego dzieła, a gdyby odbiorca wyrażał niezadowolone, że biografia urywa się na r. 1905, i napierał się głośno reszty, wtedy znany z żywego temperamentu pisarz i działacz odparłby ze zniecierpliwieniem, że trzeba czekać, gdyż nie może zajmować się tylko spisaniem tego,

co już przeżył, lecz musi także żyć dalej i działać.

Oto w porównaniu ze sprawą, ilustrowaną przez poszukiwacza zagadek w mrokach psychologii Pirandella — włącz odmienny przykład typu pisarza. Dla Rudnickiego twórczość jest nie tylko nierozdzielnie związana z życiem, lecz także z tymi celami i zadaniami, jakim życie zostało oddane. Przykład autora „Starego i nowego” jest bez wątpienia szczególny w swoim rodzaju. Ale prekursorska jego twórczość nie jest już w swoim charakterze odosobniona. Droga przeciw realizmu socjalistycznego, którą u nas otworzył, staje się dzisiaj wielką drogą rozwoju literatury wiążącej się coraz mocniej z naszą epoką rewolucji.

„Stare i nowe”, jedyna dotąd książka znana nowemu czytelnikowi, chociaż trzecia już z rzędu w dorobku pisarstwa Rudnickiego, daje bardzo charakterystyczny wyraz związkowi między życiem i rzeczywistością. Mam tu przede wszystkim powieść, której autor to zarazem jej bohater. Wprawdzie forma wspomnieniowa, jaką autor się posłużył, stała się przyczyną kłopotów dla krytyki, nie mogąc się zdecydować w określeniu, czy to pamiętnik czy może powieść, czytelnicy jednak przeszli nad kłopotem klasyfikacyjnym do porządku, biorąc z książki to, co w niej najistotniejsze: piękny obraz losów wychodzący z półfeudalnej jeszcze w końcu XIX w. osady, który jako robotnik w trybach wyzysku kapitalistycznego dojrzewa do udziału w walce rewolucyjnej i do rozeznania kierunku właściwej drogi; obraz losów, w których przenikliwość ideowa i sugestia nieporówna-

jakim tam przyszedłem. Najpierw Sienkiewicz sprawił to, że różne „Hrabiny żebrażki” poszły ze wzgardą do kąta. „Trylogia” czytana u wujostwa, u których miałem stancję, wywarła na mnie duże wrażenie i pobudziła wyobraźnię. Ale niebawem zetknąłem się z nielegalnym kółkiem robotniczym i porwały mnie broszury socjalistyczne. Machnąłem ręką na dotychczasowe lektury. Co tam z powieściami, skoro idą czasy, w których będą się walczyć losy Europy! Nie było łatwo z czytaniem po wyczerpującej pracy w fabryce, brakowało książek, a z tymi, które zdobywałem, trzeba się było kryć nie tylko przed władzą, ale i w domu. Czytaliśmy jednak w naszym kółku z zapalem, głównie książki „uczone”, które dawały podstawę światopoglądu. Mickiewicz, który trafil do nas, był czytany wyłącznie jako trybun polityczny. W „Nędznikach” Wiktora Hugo i powieściach Joaka czy Jeza szukaliśmy tylko tego, co wiązało się z naszymi poglądami lub dawało nowe wiadomości. U wujostwa, patrząc na te wysiłki zdobywania wiedzy, śmiano się, że biorę się nie do swoich rzeczy. Czytano właśnie Prusa. Zgadzałem się z odkryciem, że i on ładnie pisze, ale nie mogłem powstrzymać się od przekory. Potrząsając astronomią Flammariona, który mnie akurat oczarował, nadymałem chętnie policzki i powtarzałem z przekąsem: po co tracić czas na czytanie powieści, kiedy powinno się poznać tyle ciekawych rzeczy na świecie. Ciotka nie mogła ścierpieć mego „przemądrzaństwa” i tak z powodu astronomii straciłem wygodną i kulturalną stancję.

— Więzienia zaczęły nową epokę w lekturach. Czytałem z zapamiętaniem. Początkowo bez wyboru; i tak przecież czułem się w tym nagle otworzonym przede mną bogactwie jak w lesie. Byłem niezadowolony, że otrzymywało się tylko jedną książkę na dzień. Później jednak strażnicy byli na mnie wściekli, gdyż zacząłem przebierać: odrzucałem powieści, które mi podawano (przeważnie pomiot tłumaczeń z francuskiego), i żądałem naukowych. Tak przeczytałem: Migneta „Historię Wielkiej Rewolucji Francuskiej”, Kolba „Historię kultury powszechnej”, Liperta „Historię kultury pierwotnej”, Taylora „Antropologię”, Gide’a „Ekonomię polityczną”, Spencera „Szkice filozoficzne”, J. S. Milla, Darwina, Taine’a i wielu innych.

Słowa te łączą się z tym, co o „uniwersytecie” więziennym Rudnicki pisał w „Starym i nowym”. Warto zacytować z książki ustęp mówiący o wysiłku młodego rewolucjonisty w zdobywaniu wiedzy: „Zaraz na wstępie przyniesiono mi studium Ribota „O wyobraźni twórczej”. Gryzłem je przez dwie godziny, z rozpaloną głową, trzykrotnie, z coraz większym zadowoleniem i pożytkiem. Tyle słów, zdań i okresów niezrozumiałych! Powtarzałem je po kilka razy, usta sobie obiadem poparzyłem z pośpiechu, by w końcu z radością stwierdzić: zrozumiałem, wszystko zrozumiałem! Daleki jeszcze od znajomości języka ojczystego, wykształcony na żywotach świętych i broszurach socjalistycznych, pretendowałem do zrozumienia poważnego studium psychologicznego. Egzamin przed nauczycielem wypadłby na pewno niepomysłnie, a jednak naprawdę wpłynęło na treść książki”.

Lucjan Rudnicki i świat książek — to jest, na wzór rozprawy prof. W. Borowego „Żeromski i świat książek”, interesujące i płodne zadanie dla młodych studentów polonistyki. Podkreślenia zwłaszcza godny jest wpływ literatury naukowej, ukazującej się pod patronatem pozytywistów warszawskich: szturmującej do wiedzy robotnik ugruntowywał z jej pomocą naukowy pogląd na świat, bo jednocześnie świadomość klasowa rewolucjonisty pozwalała wyłuskać z poglądów to, co było istotnie naukowe, a odrzucić to, co było ograniczeniem.

Wróćmy jednak po tej dygresji do literatury pięknej:

— W Sieradzu, gdzie mogłem korzystać także z biblioteki naczelnika więzienia, zetknąłem się po raz pierwszy z pisarzami rosyjskimi: Gogol, Leskow, Turgeniew, Rosjalski, Tolstoj, Dostojewski, Serafimowicz, Czechow. Zacząłem czytać z trudem, bo jeszcze słabo znałem rosyjski, ale coraz bardziej budziło się we mnie zamiłowanie do literatury pięknej. Zrozumiałem wtedy, że i literatura uczy. Wielkim moim przeżyciem było zetknięcie z Dostojewskim. Podobną przygodą było też przejście przez Nietzschego. Teraz sięgałem także po współczesną powieść polską. Pamiętam, jak buntowałem się przeciw Żeromskiemu z powodu Judyma i Joasi w „Ludziach bezdomnych”, natomiast wzruszały mnie jego „Rozdziały o nas krukach, wrony”. Podobaly mi się „Żywot i myśl Podfilipskiego” Weyssenhoffa, mniej „Próchno” Berenta za pesymizm, nie zrozumiałem zaś zupełnie zawikłanej symboliki „Pahluby” Irzykowskiego. Z obcych polubiłem bardzo Romain Rollanda. Czytałem także poetów: Mickiewicza, Byrona, Puszkina, Goethego — nie wiem, czy ro-

zumiałem poezję naleźć, w każdym bądź razie mnie wzruszała. W tym okresie, a więc przed I wojną światową, ukształtowały się moje upodobania literackie; w ich kręgu, w którym najwyższe miejsce zajmował Lew Tolstoj, zaszyły później niewielkie już właściwie zmiany.

Droga od upodobań literackich do pisania:

— Przygotowywałem się na propagandystę. Praktyka pracy rewolucyjnej, w której poznałem znaczenie słowa jako broni, zmuszała do chwytania za pióro. Najpierw były odezwy i ulotki. W r. 1907 pisywałem artykuły do „Gazety Robotniczej” w Katowicach. W r. 1912 byłem już redaktorem „Nowego Głosu” w Warszawie; kiedy niedawno wpadły mi w ręce zamieszczane tam felietony doszedłem do wniosku, że już dzisiaj nie potrafiłbym chyba tak pisać. W r. 1913 wydałem broszurę o Kasach Chorych. Stała praca propagandowa, w której często nie dowierzając pamięci i wyobraźni pisałem teksty przemówień, była swojego rodzaju szkołą pisarską; zawdzięczałem jej ogromnie wiele.

— Od grudnia r. 1916 przebywałem za pracą rewolucyjną w obozach jenieckich: Szczypiorna, Hawelberg, Modlin. Tam krystalizować zaczęła się myśl o powieści propagandystycznej. Pobudką były rozmyślenia o „Janie Krzysztofie” Romain Rollanda. Kiedy patrzyłem na ten wielki obraz rozwijającej się indywidualności artysty, myślałem, że należałoby przedstawić także rozwój robotnika. W ogromnie trudnych warunkach obozowych naszkicowałem, a w r. 1919 wykończyłem tę powieść i wydałem pt. „Odrodzenie” w styczniu 1920 r. Materiał

jej był podobny jak w „Starym i nowym”, oparłem ją bowiem na własnych przeżyciach. Tyle że tu posłużyłem się fikcją: bohater Manswet Kwiatkowski pochodzi z Rzeszotowa.

— W tym samym czasie przygotowywałem planowo cykl opowiadań, które jako zamkniętą treściową całość miały pokazać narodziny Polski burżuazyjnej i obnażyć istotne znaczenie rzekomo „demokratycznych” hasel. Opowiadania, podobnie zresztą jak powieść, wydałem własnym nakładem pt. „Republika Demokratyczna” w r. 1921.

W archiwum, które się uchowało, Rudnicki posiada wycinki z recenzjami o jego książkach. Szczególnie „Odrodzenie” (mające dwa wydania polskie i dwa przekłady) wywołało szeroki odgłos. Pisał o nim m. in. Norbert Barlicki, prof. Tadeusz Sinko, poetka Zofia Wojnarowska. Podkreślano wejście robotnika do literatury jako fakt niezwykle doniosły i wróżono autorowi nieprzeciętną przyszłość. Nie obyło się wprawdzie ze względu na ideową wymowę powieści bez zastrzeżeń. Najpełniej wypowiedział je recenzent „Tygodnika Ilustrowanego”, pisząc: „Może z czasem (Rudnicki) wyrobi się i wyrośnie ponad ciasne ściany kapłanki partyjnej”. Ponieważ pisarz w „Republice Demokratycznej” nie zostawił już żadnych złudzeń, w jakim kierunku odbywa się jego rozwój, dlatego tom nowel został kompletnie przemilczany przez całą prasę pozakomunistyczną.

Następna książka zaczął Rudnicki pisać dopiero w r. 1945. Co było przyczyną tak długiej przerwy?

— Porywał mnie świat i robota partyjna. Kiedy proponowano mi, abym wstąpił do związku literatów, odpowiedziałem, że nie jestem literatem. Czulem się propagandystą, choć słuch pogarszający się po chorobach przebytych w więzieniach i obozach zaczął ograniczać możliwości. W latach 1923—1926 pracowałem w piśmie „Niezależny Chłop”, pisywałem felietony, które się na ogół podobały.

Zamieszczałem artykuły w nielegalnej prasie komunistycznej.

— Czy nie ciągnęło do literatury? Próbowałem zabrać się do pisania drugiego tomu „Odrodzenia”. Nie potrafiłem jednak zrealizować zamiarów. Ja nie umiem się inaczej wypowiedzieć niż w pełni, tak jak dusza czuje, bez niedopowiedzeń. Nie pozwalały na to warunki, w których trzeba się było liczyć z cenzurą. Stale groźby rewizji uniemożliwiały nawet pisanie dla siebie. Czekając zatem. Zdało mi się, że już jutro się zmieni, a tymczasem przeciągnęło się to przez przeszło dwadzieścia lat. Gdyby się wtedy zaopiekował mną ktoś z literatów (jak zrobił np. Boy z Jakubem Wojciechowskim), a odgłos pierwszych książek skłaniał, wydawało się, do zajęcia się robotnikiem-pisarzem, to być może mój rozwój literacki potoczyłby się inaczej. Czekając, czytałem i uczyłem się, doraźnie do kultury.

Jak powstało „Stare i nowe”?

— W r. 1928 napisałem, myśląc o materiale, który mi nie dawał spokoju, kilka zdań, zaczynających się od słów: „Pierwszym faktem z mego życia”. Kartkę tę, zatknietą w książkę i przechowaną w ten sposób mimo plądrowania gestapowców, odnalazłem po wyzwoleniu w r. 1945. Od tych samych słów: „Pierwszym faktem z mego życia” zacząłem „Stare i nowe”. Entuzjazm dla nowego ustroju pobudził mnie, aby opowiedzieć doświadczenia robotnika, który przeszedł życie szlakiem rewolucyjnym. Wróciłem do materiału, który już próbowałem objąć w „Odrodzeniu”. Tutaj jednak poza podniętą wyniesioną z „Jana Krzysztofa” działającą także podniętą prze-myśleń nad „Wojną i pokojem”. Chcia-

łem pokazać nie tylko losy jednostki, ale dać bliskie i realne przedstawienie warunków życia i obyczajowości. Podejmując podobny temat co w „Odrodzeniu”, nadałem mu inne ujęcie: tam chodziło o stworzenie fikcji — tu o powiedzenie szczerzej i bezpośrednio prawdy o życiu. Nie przeszkadza to zresztą, że w „Starym i nowym” jest może więcej „fikcji” niż w pierwszej powieści. O posługiwaniu się szczegółami decyduje przecież wzgląd na wyrazistość i wymowę prawdy.

Jeszcze o bieżącej pracy i planach:

— Przygotowałem nowe wydanie „Republiki Demokratycznej”, tomik właśnie ukazał się z druku. Teraz zajmuję się z kolei przejrzaniem „Odrodzenia” również z myślą o nowym wydaniu. Wydaje mi się, że czytelnik „Starego i nowego” porówna nie bez zainteresowania autobiografię napisaną przez sześćdziesięcioletniego i trzydziestoletniego człowieka. Zwrócono się do mnie z propozycją napisania o starej Warszawie; materiału mi nie brakuje, może coś z tego wyjdzie. Trzeci tom „Starego i nowego” liczy już sto kilkadziesiąt kartek maszynopisu. Będą tu inne zagadnienia, inny materiał, inne ujęcie niż w tomie drugim. Nie wiem jeszcze, do którego roku doprowadzę narrację. Piszę bez pośpiechu, z przerwami — mam przecież czas.

Wiele już mówiono o młodości Lucjana Rudnickiego. Sposób, w jaki wypowiedział: „Mam przecież czas”, przekonuje, że młodość nie jest legendą, lecz pełną pasji i temperamentu rzeczywistością. Dodajmy więc tylko, że będziemy mierzyć ten czas niecierpliwością oczekiwania na nowe prace znakomitego pisarza.

FANFAN-TULIPAN PRZYJEŹDŹA DO POLSKI



Gerard Philipe

ZNACIE Fanfana? Któż go nie zna! Pyszny, pełen humoru i rozmachu film o młodym awanturniku z francuskiej baśni ludowej osiągnął u nas rekordowe powodzenie. Zapewne niejedną z naszych dziewcząt podkochała się w aktorze grającym rolę tytułową, aktorze o nieprzeciętnej urodzie i niezwykłym uroku. Jego nazwisko: Gerard Philipe.

Nie ma co do tego wątpliwości: Jest to obecnie najpopularniejszy i najbardziej ulubiony we Francji aktor teatralny i filmowy. Ma dziś dopiero 32 lata, a już znajduje się u szczytu powodzenia, choć z pewnością jeszcze nie u szczytu rozwoju aktorskiego. Krytycy francuscy zaliczają go do największych talentów, a są i tacy, którzy widzą w nim cechy geniusza.

Jego kariera artystyczna potoczyła się bardzo szybko. Nie od razu myślał o sztuce aktorskiej. Zaczął studiować na uniwersytecie prawo. Potem zapisał się na kurs sztuki dramatycznej w swym rodzinnym mieście Cannes i jako młodziutki aktor stawiał pierwsze kroki sceniczne w zespole odbywającym tournée na południu Francji. Następnie — jeszcze rok studiów dramatycznych w Paryżu i młody, ambitny prowincjusz decyduje się zdobyć stolicę. We Francji ciągle jeszcze — niemal tak jak za czasów Balzaka, kiedy Lucjan de Rubempre ze „Straconych złudzeń” wyruszał z prowincji na podbój Paryża — od powodzenia w tym mieście zależy cała kariera każdego pragnącego się wybić — w jakiegokolwiek dziedzinie — młodego człowieka.

Gerard Philipe nie mógł mówić o „straconych złudzeniach”. Występuje pierwszy raz w Paryżu w roli anioła w sztuce Giraudoux „Sodoma i Gomora”. Od razu zdobywa publiczność. Potem następują inne role w „Caliguli”, „Camusa”, „Federigo” Laparte’a, następnie filmy: „Kraj bez gwiazd” i pierwszy wielki sukces na ekranie: „Idiota” według powieści Dostojewskiego, „Śledem grzechów głównych”, „Diabelska piękność” (reżyseria Rene Claira), znane u nas: „Pustelnia Parmeńska” oraz „Fanfan Tulipan” i wiele innych. Gerard Philipe triumfuje.

W osiągnięciu tego powodzenia pomogły mu oczywiście znakomite warunki zewnętrzne. Jego uroda daleka jest od mdłej banalności hollywoodzkich amantów, którzy na kilka sezonów robili karierę wśród kinowej

publiczności. Gerard Philipe stanowi uosobienie młodości, kipi życiem i temperamentem. Jego twarz ma w sobie coś chłopcowskiego z trochę skośnym uśmiechem ust i niesforne spadającymi na czoło kosmykami ciemnych włosów. Głos o lekkim zabarwieniu nowym czasem zabrzmiał tonem ostrym, jaskrawym. Z tymi wszystkimi cechami, które podobają się publiczności, Gerardowi Philipe groziło, że we wszystkich rolach będzie grał... Gerarda Philipe. Ale tak się nie stało. Nie uległ zawrotowi głowy od powodzenia. Zachował prostotę stylu życia i nieustającą pasję usilnej pracy nad sobą i swymi kreacjami. Jeszcze raz wspomnijmy Balzaka i jego słowa o tym, że dla artysty praca jest odpoczynkiem, a odpoczynek pracą. Sądzę, że Gerard Philipe zgodziłby się z tym zdaniem.

Film daje mu duże dochody. Obecnie nagrywa „Czerwone i czarne” Stendhala, gdzie występuje w roli Juliana Sorela. Ale Gerard Philipe nie zdradził dla kinematografii o wiele mniej intratnego teatru — jak to robią najczęściej młodzi aktorzy francuscy, którym się w filmie powiodło. Wstąpił do kierowanego przez Jean Vilara Theatre National Populaire (Narodowy Teatr Ludowy) i z tym właśnie zespołem przybywa w październiku do Polski. Zagra w dwu swych popisowych, tytułowych rolach: w „Cydzie” Corneille’a i „Ruy Blas” Wilkora Hugo.

Dlaczego Gerard Philipe stał się członkiem tego właśnie zespołu? Odpowiedź jest prosta. Teatr Vilara jest teatrem postępowym, przeznaczonym dla najszerzych mas. Gerard Philipe zaś jest artystą postępowym. Niejednokrotnie dawał publicznie wyraz swym postępowym poglądom społecznym i politycznym. Tu więc mógł znaleźć odpowiednie pole do działania.

Jean Vilar — sam znakomity aktor i reżyser (jego przedstawienie „Don Juana” Mollera, które wraz ze „Skapcem” ujrzyliśmy w Polsce, otrzymało w roku bieżącym nagrodę za najlepszą inscenizację), uczeń słynnego aktora i reformatora teatru francuskiego Charles Dullina, obejmując kierownictwo Theatre National Populaire pragnął uczynić go teatrem dla wszystkich i zaraził bakcylem teatru tych, którzy się z nim do tej pory nie stykali.

Vilar pisał kiedyś z ironią, że teatr we Francji jest „na sposób demokratyczny” — dostępny dla wszystkich, to znaczy, że każdy może pójść do teatru, byle miał... 500 czy 800

franków. Ze zaś na taką cenę biletu może pozwolić sobie tylko nieliczna warstwa „elity” mieszkającej w najbardziej „sztywnych”, centralnych dzielnicach Paryża, olbrzymia większość ludności ubogiej, ludności przedmieść do teatru nie chodzi. Vilar gra w wielkich salach (w Paryżu w mieszczącej 2.800 osób sal Palacu Chaillo) lub na wolnym powietrzu — jak w festiwalach w Awinionie na tle starego pałacu papieskiego. Pozwala mu to na znaczne obniżenie cen biletów (przy bardzo niedużej subwencji państwowej teatr musi być opłacalny). Stara się przy tym o zorganizowanie widowisk za pośrednictwem związków zawodowych. Łączy w jeden cykl kilka przedstawień. Przeplata je koncertami lub nawet zabawami ludowymi, przy czym w ogólną cenę włączony jest też koszt posiłku. I odnosi sukcesy. Na jego przedstawienia zjeżdżają się bogaci snobsi z całego świata — to prawda. Ale też przyciągają one tłumy ludzi, którzy w innych warunkach do teatru by nie trafili. I zachwyceni pięknem sztuki teatralnej szukają potem podobnych wrażeń w innych teatrach, stają się — jeśli im tylko na to kleszeń pozwoli — stałymi widzami teatralnymi.

A ludzie tych Vilar wychowuje na najlepszym, przeważnie klasycznym repertuarze. Wychodzi z najsłuszniejszego założenia, że nie ma sztuki „dla ubogich”, sztuki niższego rzędu. Jest tylko jedna sztuka prawdziwa i ona — odpowiednio wybrana i podana — może działać na wszystkich. TNP — taki jest skrótem teatru Vilara — oprócz wspomnianych już wyżej utworów wystawił „Lorenzaccio” Musseta, „Księża von Homburg” Kleista (w tej tragedii znów wielki sukces odniósł Gerard Philipe), „Ryszarda III” Szekspira, „Śmierć Danton’a” Buechnera, a z nowych „Matkę Courage” Brechta i „Nuclea” Pichette’a, młodego poety francuskiego. W tegorocznym ilcowym festiwalu w Awinionie teatr Vilara pokazał obok „Księża von Homburg” po raz pierwszy „Makbeta” Szekspira. Lady Makbet grała znana aktorka francuska Maria Casares, która do tej pory należała do słynnego zespołu paryskiego J. L. Barrault.

Teatr Vilara we wrześniu występował w Kanadzie. W Polsce przedstawiciele wielkiej sztuki francuskiej powitamy z prawdziwą radością.

AUGUST GRODZICKI

1. Z. Campan, art. 2. S. Monfort, art. 3. M. Chaumette, art. 4. J. P. Moulinot, art. 5. L. Arnaud, art. 6. Jean Vilar, art., dyrektor teatru. 7. M. Cousmoneau, (dźwięk). 8. Gerard Philipe, art. 9. J. P. Darras, art. 10. J. Deschamps, art. 11. P. Nolret, art. 12. A. Schiesser, art. 13. G. Provost, art. 14. G. Wilson, art. 15. J. Dasque, art. 16. A. Collet, asystent oświetlenia. 17. R. Besson, główny reżyser. 18. J. Le Marquet, art. i asystent głównego scenografa. 19. P. Saveron, (oświetlenie). 20. Jean-Jacques de Kerday, pomocnik reżysera. 21. Ch. Minazzoli, art. 22. M. Jarre, kompozytor i kierownik muzyczny. 23. L. Badie, art. 24. M. Dol, art. 25. D. Sorano, art. 26. J. F. Remi, art. 27. G. Riquier, art. 28. G. Mollien, art. 29. G. Lycan, art. 30. Yves Gasc, art. 31. P. Hatet, art.

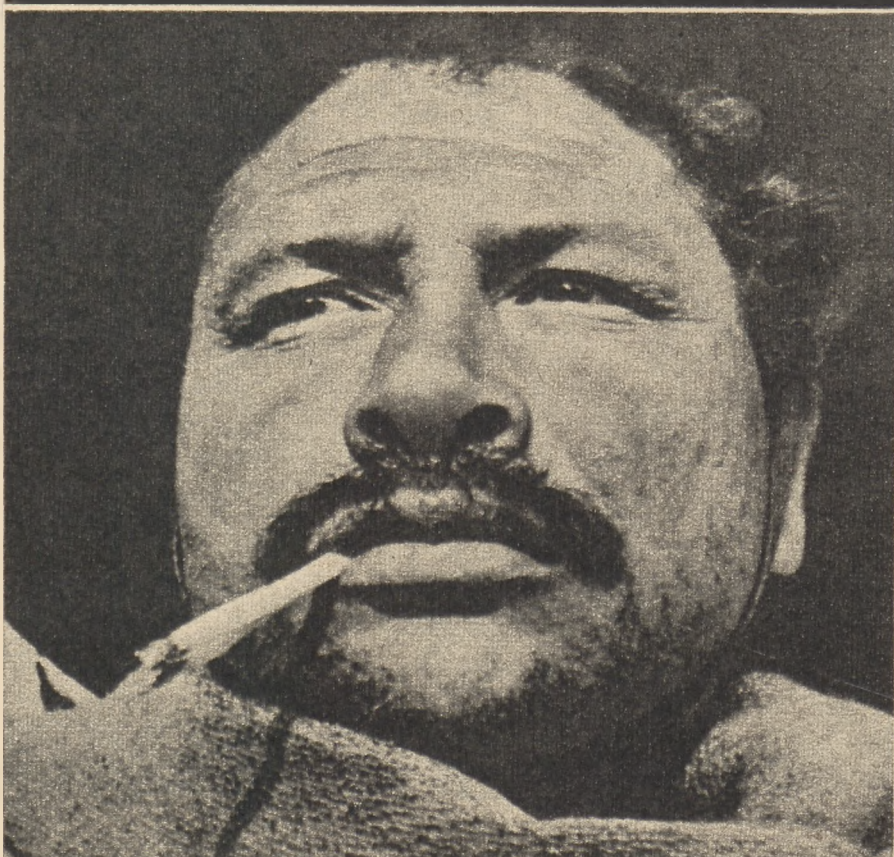


JOSE MIGUEL VARAS

KULISY ZBRODNI

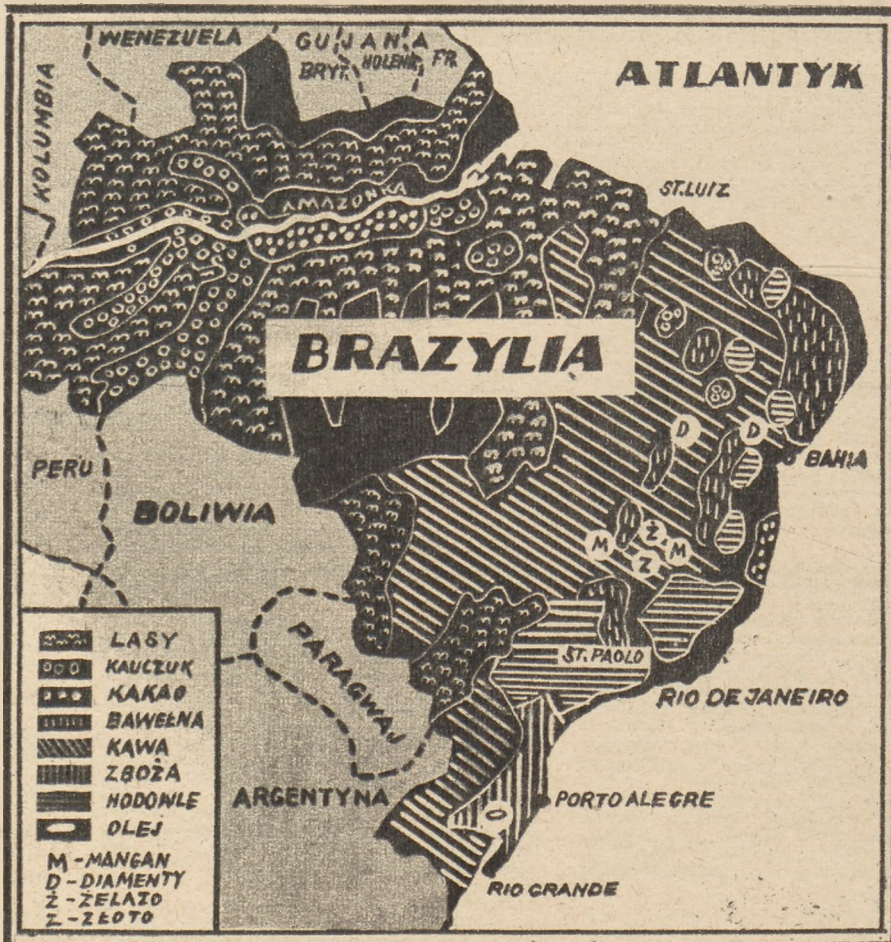
PRZY ULICY TONELEROS

Korespondencja własna
„Świata” z Ameryki Łacińskiej



Gaucha — typowa postać „pampy” brazylijskiej. Z kraju gauchów — Rio Grande do Sul — pochodził Vargas. Wielkie farmy, tzw. „fazendy”, dają milionowe zyski eksporterom

Brazylia ma obszar nieco mniejszy od Europy i niezmierzone bogactwa naturalne.



WYBUCHOWA ATMOSFERA

Zabójca uciekł do samochodu, czekającego w pobliżu. Ruben Florentino Vaz skończył w drodze do szpitala. W cztery godziny później, podczas opatrunku, Carlos Lacerda poprosił o papier i ołówek. Ze złością, łowcy sensacji Lacerda zredagował notatkę, która następnego dnia miała się ukazać w jego gazecie pod wielkim tytułem. Notatka ta oznaczała wyrok śmierci na Getulio Vargasu. Lacerda pisał:

„Ruben Vaz, ojciec czterech synów, zmarł tej nocy w mojej obecności. Mój syn przeżył chwilę niebezpieczeństwa, na które narażeni są wszyscy Brazylijczycy, podtrzymujący obecny rząd przekupstwa i terroru. W obliczu Boga oskarżam człowieka odpowiedzialnego za tę zbrodnię. Jest on protektorem morderców, którym bezkarnie dodaje odwagi do popełniania podobnych przestępstw. Człowiekiem tym jest Getulio Vargas. Ruben Vaz padł w walce, prowadzonej przez bezbronnych ludzi przeciwko bandytom w rządzie Getulio Vargasu”.

Był to początek serii wydarzeń, rozwijających się z piorunującą szybkością. Wiadomość o zamachu podziałała jak iskra w atmosferze, przesyconej benzyną. Różne grupy polityczne postanowiły wykorzystać sprawę, która wydarzyła się na kilka tygodni przed wyznaczonym terminem (3 października) powszechnych wyborów gubernatorów i posłów do parlamentu.

Klub Lotniczy rozpoczął śledztwo na własną rękę, ogłaszając publicznie, że nie ma zaufania do policji. Przywódca Unii Narodowo-Demokratycznej wygłosił patetyczne przemówienie w parlamencie, kończąc następującym wezwaniem: „Pan Vargas powinien wykazać, że jest prawdziwym mężczyzną, ustępując z rządu”. Kardynał Rio de Janeiro odprawił mszę i

której nie dostrzegali przez tyle lat, dodając, że wytyczną dziennikarza Lacerdy jako wyraziciela „opozycji” przeciwko Vargasowi było „zaprowadzenie zasad chrześcijańskich we wszystkich dziedzinach życia państwowego”. (Cytujemy za austriacką socjaldemokratyczną „Wiener Zeitung” z dnia 18 sierpnia).

Tak więc w planach amery-

kańskich rządu nowego prezydenta o symbolicznym nazwisku (cafe — znaczy kawa) mają zapewnić imperializmowi dalsze nieograniczone panowanie w Brazylii. Odpowiedzią na te plany jest ogromna fala strajków i manifestacji antyamerykańskich, które, jak przyznał „New York Times”, wprawili „w osłupienie” Stany Zjednoczone...

D.B.

Opisując wypadki z 25 sierpnia, kiedy „tłum usiłował wybić szyby w ambasadzie amerykańskiej w Rio de Janeiro”, a w stolicy brazylijskiej skoncentrowano „oddziały wojska w ostrym pogotowiu, lekkie czołgi i kawalerię” — londyński „Times” pisał: „Tłum ledwo nie przewrócił auta ambasadora brytyjskiego, który udawał się do ambasady. Należy jednak przypuszczać, że nie rozpoznano osoby, jadącej autem...” Ukryta w tych słowach leciutka „Schadenfreude” tłumaczy się wyraźniej, jeśli uprzytomnimy sobie znaczenie pewnych liczb: w latach 1939—1950 kapitały brytyjskie w Brazylii spadły sponad milarda dolarów do 233 milionów, natomiast kapitały Stanów Zjednoczonych wzrosły w tym samym czasie z 240 milionów do przeszło miliardów.

Zasoby Brazylii stały się łupem wojennym imperializmu amerykańskiego. United States Steel Corporation i Bethlehem Steel opanowały największe kopalnie manganu i rudy żelaznej; grupa Rockefellera rządzi finansjerką brazylijską za pośrednictwem banku w Rio, związanego z nowojorskim Chase National Bank; z 9 wielkich koncernów przemysłu elektrycznego 7 należy do kapitału amerykańskiego; Standard Oil, Texas Co i Caloric Co dysponują brazylijskim przemysłem naftowym; Wilson Swift i Armour — fermami hodowlanymi, Anderson i Clayton — bawełną, United Fruit — plantacjami kawy i kakao. Posłuszny rząd brazylijski narzucił narodowi pakt wojskowy, oddający armię na usługi wojennej polityki USA; delegaci brazylijscy podpisali haniebne układy „panamerykańskie” w Caracas i oddawali niezliczone usługi Departamentowi Stanu na posłuchenia Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Wszystko to działo się pod egidą prezydenta Getulio Vargasu — gładkiego i elastycznego przedstawiciela wielkiej burżuazji obszarnej południowego stanu Rio Grande do Sul — który w odpowiedniej chwili dokonał zwrotu o 180 stopni. Z wielobiciela faszyzmu włoskiego i niemieckiego (dowódcą tego w latach dyktatury 1933—1940, kiedy rozwiązał parlament, utworzył korporacyjne państwo „Estado Novo”, zarządził uchwalenie faszystowskiej konstytucji, rozpętał falę terroru przeciwko siłom postępowym, a nawet wydał ślepaczm Hitlerowskiemu żonę Carlosa Prestesa, antyfaszystkę niemiecką) — stał się po wojnie wypróbowanym zwolennikiem „demokracji amerykańskiej”.

A jednak wiedziony nieomylnym instynktem klasowym lud brazylijski bez wahania rozpoznał sprawców samobójstwa Vargasu i autorów nowego wojskowego zamachu stanu, który oddał władzę w ręce prezydenta Joao Cafe i grupy wojskowej z „brygadierem” Eduardo Gomezem na czele.

„Jasne jest — pisał przywódca Brazylijskiej Partii Komunistycznej, Carlos Prestes, w przeddzień samobójstwa Vargasu — że amerykańscy mocodawcy Vargasu i generała Gomeza nie są zadowoleni z obecnej sytuacji brazylijskiej. Nie zawahali się przed zbrodnią, która miała wtrącić kraj w atmosferę niepokoju i wzburzenia, atmosferę ułatwiającą dokonanie zamachu stanu...”

W obliczu wzrastającego kryzysu gospodarczego i coraz gwałtowniejszych oznak rozgoryczenia szerokich mas ludowych, pod naporem potężnych z każdym dniem sił antyimperialistycznych, Vargas zmuszony był iść na ustępstwa. Wbrew protestom generalicji zarządził w maju br. podwyżkę minimalnych płac robotniczych; 3 września 1952 r. podpisał dekret, ustanawiający przedsiębiorstwo państwowe Petrobras, które miało odebrać monopol na

eksploatację nafty brazylijskiej trustom amerykańskim. Wreszcie, kiedy rząd amerykański odrzucił minimalną cenę kawy brazylijskiej — stanowiącej 70% eksportu tego kraju — Vargas posunął się do „rozpaczliwego kroku” (jak pisał brytyjski „Financial Times”), ustanawiając minimalną cenę kawy w walucie brazylijskiej, a nie w dolarach.

Po doświadczeniu gwatemalskim rząd USA uznał, że nie ma chwili do stracenia i przystąpił do działania. Najbardziej reakcyjna i konserwatywna część burżuazji, zorganizowana w proamerykańskiej partii Union Democratica Nacional, stała się wygodnym narzędziem intrygi przeciwko niedostatecznie już posłusznemu prezydentowi. Zręcznie ukartowany zamach

na działacza tej partii, dziennikarza Lacerdę, a faktycznie na przedstawiciela proamerykańskich sfer wojskowych, majora Vazę, posłużył jako punkt wyjściowy dla rozpętania „atmosfery wzburzenia” i umożliwienia zamachu stanu. Nic też dziwnego, że Watykan w pośpiesznie wydanym komunikacie napisał tym razem „korupcję rządu brazylijskiego”,



Nowy prezydent Joao Cafe Filho określony został przez United Press jako człowiek „sprzyjający inicjatywie prywatnej i ścisłym stosunkom z USA”. Kola amerykańskie przewidują dewaluację cruzeiro, co obniży cenę kawy, głównego produktu eksportowego Brazylii. Prezydent Cafe nosi symboliczne nazwisko...

„duszę Vaz'a, na którą udali się wszyscy przywódcy opozycji. Po mszy, ulicą Rio Branco przeszła manifestacja, rozprawiona przez policję.

ŚLADY PROWADZĄ DO PALACU RZĄDOWEGO

Ustąpienie szefa policji odbyło się ostentacyjnie w obecności ministra wojny, generała Zenobio da Costa. Opinia publiczna dopatrywała się w tym oznaki, że armia zaczyna odgrywać czynną rolę w politycznym życiu Brazylii.

Wtedy to wkroczył na scenę pięćdziesięcioletni generał Eduardo Gomes, dwukrotnie przegłosowany kandydat na prezydenta (w 1945 i w 1950 r.), zaciekle wróg Vargas'a i przywódca Unii Narodowo-Demokratycznej. (Gomes jest obecnie ministrem Lotnictwa w rządzie Joao Cafe). Na sensacyjnym zebraniu w Klubie Lotniczym, w obecności korpusu oficerskiego, pułkownik Jose Vaz zwrócił się do Gomesa: „Wzywam bohatera z 1922 r! Niech przypomni sobie swe młodościencze lata i złoży zobowiązanie, że nie cofnie się przed przelewem krwi, aby zetrzeć piętno zbrodni z naszej ojczyzny”.

Tymczasem wyniki śledztwa prowadziły bezpośrednio do Pałacu Catete (siedziba prezydenta). 8 sierpnia zaarrestowano szofera, który wskazał sprawców zamachu: Climerio Aurides de Almeida, członka Gwardii Przybocznej prezydenta Vargas'a, i stolarza Joao Alcino de Nascimento, „zawodowego” zabójcę.

Vargas ogłosił natychmiast dekret, rozwiązujący Gwardię Przyboczną. Jej komendant, olbrzymi Murzyn Grigorio Fortunato, został osadzony w areszcie i poddany badaniom przez zandarmerię. Po kilku godzinach wydano komunikat, informujący, że Fortunato wykorzystywał swoje stanowisko dla prowadzenia niedozwolonych machinacji. Krytyki przybrały na sile. Gazety opozycyjne otwarcie domagały się dymisji Vargas'a. Postulat ten podjęło dowództwo armii. Oskarżano Lutero Vargas'a, syna prezydenta i posła do parlamentu, jako moralnego sprawcę zbrodni.

SAMOBÓJSTWO

Armia otwarcie przyłączyła się do kampanii, żądającej ustąpienia prezydenta. Vargas bronił się twardo, stosując swoje znane chwytły oratorskie. „Podaję wam w jednej ręce przebaczenie dla tych, którzy obrzucają mnie błotem, w drugiej zaś najsurowszą karę dla przestępców”.

23 sierpnia generałowie wszystkich trzech sztabów przedstawili Vargasowi ultimatum: ustąpić lub skończyć z urlopu na czas nieokreślony. Jednocześnie wiceprezydent Joao Cafe zaproponował mu, że ustąpi z nim razem.

Vargas odrzucił obydwie propozycje, odpowiadając, że „tylko po śmierci opuści posterunek”. O świcie 24 sierpnia przyjął jednak ostateczny warunek — przekazanie władzy wiceprezydentowi Cafe.

W cztery godziny później strzelił sobie w serce. Skończył po pięciu minutach.

OSKARŻAJĄCY LIST

W ciągu owych czterech godzin Vargas dokonał zapewne oceny swego życia. Napisał list, wstrząsający swoją siłą, oskarżający bezpośrednio „grupy międzynarodowe, które w połączeniu z grupami rodzinnymi działają na szkodę robotników”. List zawiera konkretne punkty oskarżenia:

- „Parlament wstrzymał uchwalenie dekretu o nadmiernych zyskach; te same motywy spowodowały opór przeciwko podwyższeniu minimalnych zarobków robotniczych.
- Dążyłem do stworzenia podstaw wolności narodu drogą wykorzystania naszych bogactw naturalnych. Fala agitacji przeciwstawiła się utworzeniu Petrobrasa (monopol państwowy nafty).
- Electrobras (przedsiębiorstwo państwowe energii elektrycznej) był zaciekle zwalczany i został doprowadzony do katastrofy. Nie chcieli wolności ludu.
- Widziałem, jak kryzys na rynku kawy prowadził do podwyższenia ceny naszego podstawowego produktu; usiłowałem bronić ceny kawy, ale w odpowiedzi zastosowano przeciwko nam gwałtowną presję gospodarczą, która zmusiła nas do poddania się”.

RĘKA IMPERIALIZMU

Samobójstwo Vargas'a nie zostało całkowicie wyjaśnione. Za kulisami wypadków, które doprowadziły do

tragicznego końca, działała dłoń kierująca, która zręcznie manewrowała sznurkami, poruszającymi marionetki. Miał ją na myśli Vargas, oskarżając w swoim liście owe „grupy międzynarodowe” — była to ręka imperializmu amerykańskiego.

Imperializm, ściśle sprzymierzony z prawicową opozycją przeciwko Vargasowi, usiłował za wszelką cenę „wygrać” październikowe wybory parlamentarne. Imperialiści nie ukrywali swego niezadowolenia, spowodowanego pewnymi próbami reform społecznych i gospodarczych, do których zmusił Vargas'a napór mas ludowych. Dziennikarz kolumbijski German Arciniegas cytuje zdanie, zasłyszane w amerykańskim Departamencie Stanu: „Vargas jako generał i dyktator był silnym mężem stanu (chodzi tu o okres dyktatury faszystowskiej Vargas'a w latach 1933—1940). Jako prezydent, wybrany w głosowaniu powszechnym (chodzi o wybory w 1950 r., kiedy Vargas jako kandydat opozycji otrzymał 45% głosów), okazał się słabym człowiekiem”.

Należy dodać, że Getulio Vargas, będąc przedstawicielem silnej grupy burżuazji brazylijskiej, usiłował ostatnio przyczynić się do pewnego uniezależnienia gospodarczego kraju (Electrobras, Petrobras, etc.).

Śmierć Vargas'a jest więc wynikiem gigantycznego spisku, zmontowanego przez monopol amerykańskie, w celu uzyskania „absolutnej” kontroli — w stylu gwatemalskim — nad olbrzymim obszarem Brazylii.

Prasa brazylijska zdemaskowała ten spisek, w którym wszystkie elementy, począwszy od zamachu na Lacerdę, były doskonale zgrane ze sobą. Tylko w ten sposób można zrozumieć, dlaczego Lacerda i jego syn uniknęli śmierci, dlaczego ofiarą zamachu padł Vaz, którego zabójstwo było koniecznym pretekstem dla dokonania przez grupę wojskową zamachu stanu.

Ze swojej strony nowy prezydent Joao Cafe zapewnił, że kierować się będzie większym „rozumieniem” interesów kapitalistów amerykańskich i zapowiedział dewaluację cruzeiro.

ODPOWIEDZ LUDU

24 sierpnia agencje prasowe na całym świecie doniosły o masowych manifestacjach antyamerykańskich w Rio de Janeiro i Rio Grande do Sul. W Rio de Janeiro tłumy zebrały się przed ambasadą amerykańską, domagając się, żeby Amerykanie opuścili Brazylię i nazywając ich sprawcami kryzysu politycznego i gospodarczego, doprowadzającego kraj do ruiny. W Porto Alegre manifestanci zniszczyli konsulat USA. Siedemnastopiętrowy gmach o szklanych ścianach, w którym mieści się ambasada amerykańska w Rio de Janeiro, strzeżony jest przez 500 żołnierzy, uzbrojonych w karabiny maszynowe i czołgi.

Komunistyczna Partia Brazylii, działająca w warunkach nielegalnych, kieruje walką mas ludowych, występujących przeciwko faktycznemu zamachowi stanu, dokonanemu przez imperializm amerykański w Brazylii.

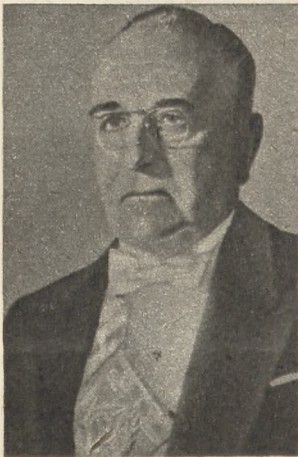
W chwili, kiedy piszę ten artykuł, dochodzi mnie wiadomość o zapowiedzianym na 2 września strajku powszechnym, na którego czele znajduje się siedemset tysięcy robotników Sao Paulo.

Robotnicy i chłopci Brazylii odpowiadają na wyzwanie, a echo ich walki rozbrzmiewa w całej Ameryce Łacińskiej.

Oddziały piechoty i kawalerii, czołgi i karabiny maszynowe nie zdołały ochronić ambasad i konsulatów amerykańskich w różnych miastach Brazylii przed wybuchem nienawiści do imperialistów. W Belo Horizonte manifestanci wtargnęli do konsulatu USA i podarli na strzępy sztandar amerykański, po czym uformował się pochód, ze sztandarem brazylijskim na czele.



Ameryka Łacińska przestała być „spokojnym podwórkiem Stanów Zjednoczonych” — jak ją określił niedawno jeden z amerykańskich polityków. Oto jak ponie sztandar amerykański w Chile podczas manifestacji solidarności z ludem Gwatemali.



Prezydent Vargas w ostatnim liście napisał: „międzynarodowe grupy gospodarcze”, które „od dziesięciu lat eksploatują Brazylię”.



„Brigadeiro” Eduardo Gomes z polecenia Vargas'a zajmował się wprowadzeniem w życie paktu wojskowego brazylijsko - amerykańskiego.

W Pińczowie DNIEJE...

(2)

MARIAN BRANDYS

Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI



NAJNOWSZE dzieje Pińczowa znacznie odbiegają swą treścią od sławnej przeszłości „Polskich Aten”. Ostatnie półwiecze tych dziejów to szczególnie typowe dla małego miasteczka polskiego życie „przy wojsku” i z wojska.

Za czasów zaborczych stacjonowali w Pińczowie Jansborscy Huzarzy. Bractwo to zajmowało pół miasta na swoje kwatery, zatrudniało połowę ludności dla swoich potrzeb, zjadało góry żarcia i wypijało morze trunków. Dwa razy dziennie huzarzy przeciągali przez miasto, śpiewając:

*Salawiej, salawiej, ptaszeczka!
Kanariej, kanariej, kanariejeczka!
Zatobno pajot...*

Rotmistrze i korneci huzarscy przegrywali w karty do miejscowych kupców i okolicznych ziemian „kazione” pieniądze, a potem strzelali z pistoletów do luster restauracyjnych, rzadziej do własnych głów.

Miasto z tego wszystkiego żyło. Rzeźnicy, piekarze i szewcy dorabiali się kamieniczek, kupcy i dostawcy paszy grubieli. Co niektóre panny grubiały również. Życie toczyło się monotonnie jak w tysiącu innych małych garnizonów: bez większych kłopotów i bez większych ambicji.

Druga Rzeczpospolita uszanowała tradycje garnizonowe Pińczowa. W latach dwudziestych osiedlił się w miasteczku Drugi Pułk Piechoty Legionowej. I, znowu dwa razy dziennie przeciągali przez ulice żołnierze, śpiewając tym razem:

*O mój rozmrynie rozwijaj się.
Pójdę do dziewczyny, pójdę do jedynej
Zapytam się...*

Oficerowie, jak przedtem, flirtowali z pannami, pili wódkę w restauracjach oraz grywali w karty i w bilard z miejscową inteligencją i okolicznymi ziemianami. Wojsko znowu pochłaniało masę jada, towarów i usług. Znowu grubieli kupcy, sklepikarze i poniektóre panny. Idylla trwała.

Ale na parę lat przed drugą wojną wybuchł skandal. O co wtedy poszło — trudno jest dzisiaj dociec. Dość, że dowódca pułku pińczowskiego z jakichś powodów obraził się śmiertelnie na Pińczów i wyciągnął z tego najdalej posunięte konsekwencje. Wojsko opuściło miasto na zawsze.

Wtedy mieszkańcy Pińczowa poczuli się nieswojo. Po wielu latach ruchliwego, uporządkowanego życia przy wtórce piosenki wojskowej naraz zrobiło się wokół nich cicho i pusto. Po raz pierwszy zrozumieli, że wprawdzie mieszkają w Polsce, ale właściwie to nie mają z tą Polską nic wspólnego, że nie są reszcie kraju na nic potrzebni, że kraj niczego po nich się nie spodziewa, i że oni nie mogą krajowi w niczym pomóc ani niczego mu ofiarować. Przez wiele lat życia „przy wojsku” Piń-



Hotel w Pińczowie? Zastępuje go tu reklamujący się bardzo szumnie lokal: „Nocleg”. Przyjemnej nocy!!!

czów nie dbał o swoje zaplecze gospodarcze, nie zorganizował sobie żadnego przemysłu ani żadnej bazy surowcowej (wydajność kamieniołomów pińczowskich była przed wojną mniej więcej taka, jak za czasów Zbigniewa Oleśnickiego), Pińczów przez pół wieku był tylko hotelem wojskowym i kantyną żołnierską. Gdy hotel i kantinę opuścili klienci, miasto stanęło u progu ruiny.

Taki był Pińczów tuż przed drugą wojną światową. Pińczów z roku 1954 na pozór bardzo mało różni się od Pińczowa sprzed roku 1939. Mimo widocznych zniszczeń wojennych jest po dawnemu ślicznym, typowo polskim miasteczkiem. Otacza je malowniczy krajobraz wzgórz kieleckich z wyniosłą Górą Zamkową na pierwszym planie, z jej wysokości patronuje miasteczku samotna, przedziwnie kształtna kaplica św. Anny. Ciche, tonące w zieleni uliczki pińczowskie pełne są niewysłowionego czaru. Do domków z białego pińczowskiego kamienia tułają się maleńkie wiejskie ogródki, bogactwem swych barw przewyższające paletę najśmielszych malarzy. W oknach mieszkań, między czerwoną pelargonią a różowym kwieciem Amaryllis połyskują obiecująco pękate gąsiorki z wiśniakiem. Wszystko to razem składa się na obraz tak polski, że chciałoby się tu przyprowadzić każdego cudzoziemca zwiedzającego nasz kraj i powiedzieć mu: oto jest najbardziej polskie z naszych miasteczek. Takie samo było przed stu laty, i, gdyby nie wtrącać się w jego sprawy, takie samo pozostałoby na dalsze sto lat. Najbardziej urocze miasteczko dla tych, którzy odwiedzają je na kilka godzin, i znacznie mniej urocze dla tych, którzy mieszkają w nim stale.

Rzecz jasna, że Pińczów powojenny przejął od Pińczowa przedwojennego nie tylko zewnętrzne uroki, ale i wszystkie wewnętrzne wady małego miasteczka, oderwanego od życia kraju, pozostawionego samemu sobie, bez perspektyw na przyszłość, bez ambicji, bez marzeń. Już pierwsze zetknięcie z Pińczowem wywołuje wrażenie, że miasteczko nie zdołało jeszcze otrząsnąć się z apatii, w jaką wtrąciło je odejście wojska.



Tempo życia pińczowskiego oraz sposób załatwiania przez społeczeństwo pińczowskie niektórych żywotnych spraw wzbudza głębokie przekonanie, że pińczowianie nie dowierzają swoim siłom, że osłabli w nich instynkt walki o byt, że stępiła się ich inicjatywa społeczna, że — krótko mówiąc — w wyniku długoletniej kariery markietanki wojskowej Pińczów odwykł całkowicie od samodzielnego kierowania swym życiem.

Z pierwszych wędrówek po Pińczowie i z pierwszych rozmów wynosi się wrażenie, że pińczowianie ciągle tylko czekają na coś z zewnątrz. To na normalne połączenie kolejowe z Sędziszowem, to na wybudowanie przewidzianego w planach ogólnopństwowych kombinatu gipsowego, to na osiedlenie się w Pińczowie powiatowego zarządu drogowego, to na wykończenie gmachu szkoły podstawowej, to na własny Dom Kultury. Prawda, że wszystko to, na co czekają, słusznie im się należy. Ale rzecz w tym, że pińczowianie sami z siebie na nic nie chcą czy też nie potrafią się zdobyć. Nawet na zorganizowanie sobie w dziesiątym roku niepodległego bytu jakiejś przyzwoitej sali dla imprez kulturalnych, których z braku takiej sali w ogóle w Pińczowie nie ma. Czy też na odbudowę nad Nidą przystani kajakowej, której cała młodzież tak pragnie. Lub choćby na ostre rugnięcie zarządu swoich gospód za podawanie tak nędźnie przyrządzonych potraw, jakich nie ośmielono by się z pewnością podać żadnemu oficerowi Pułku Piechoty Legionowej, nie mówiąc już o kornetach od Jansborskich Huzarów. Nawet na takie drobnostki pińczowianie sami zdobyć się nie mogą. Panuje tu gnuśna, ospała atmosfera małego garnizonu najgłębszej prowincji. Brak tylko piosenki żołnierskiej, którą w swoim czasie dwa razy dziennie dawała się słyszeć na ulicach miasteczka. A właściwie jest i piosenka, nawet w nadmiarze. Dostawca jej, to radiowęzeł pińczowski, umieszczony w dawnym klasztorze Oleśnickiego. Spod tarczy herbowej z kardynalskim kapeluszem dobywa się hałas mogący rozruszać umarłego. „Radiowęzeł Oleśnickiego” jest z pewnością najbardziej „radioaktywną” jednostką na terenie całej Rzeczypospolitej. Za pośrednictwem kilkudziesięciu głośników panuje nad Pińczowem tak, jak nie panował żaden z Oleśnickich: ani ten od Inkwizycji, ani tamten od Reformacji. Osiąga to środkami niezwykle oszczędnymi, bo przy pomocy tylko płyt z piosenkami: „Wio koniku...”, „Kapita-a-anie” i „Szaleństwo w Zoo”. Te płyty nagrywane są na przemian od rana do wieczora. Rytmiczny hałas szalejący bez przerwy w leńniej ciszy miasteczka brzmi jak przygrywka Chochola z „Wesela”.

Przyznaję, że pierwsze wrażenia reporterskie bardzo zniechęciły mnie do Pińczowa. Pan Prażuch w swej wszystkim wybaczącej miłości do rodzinnego miasta starał się je przede mną wybronić. Tłumaczył mi, że wyższe instancje zupełnie zaniebują Pińczów, wszystkie swe względy kierują ku sąsiedniemu powiatowi buskiemu. Przekonywał mnie gorąco, że w mieście „mimo to” zaczyna się ruszać, zwracał moją uwagę na wzorowo urządzone planty miejskie, na piękne licówki kamienne nowych domów, robił mi apetyt na kamieniołomy pińczowskie, których zwiedzanie czekało nas następnego dnia.

Wszystko to nie potrafiło zmienić mego złego nastroju. Pod ciężarem pierwszych wrażeń załamałem się i postanowiłem zarzucić myśl napisania reportażu rehabilitującego Pińczów z jego „przysłowiowej” sławy. Za wcześniej jeszcze na rehabilitację Pińczowa. W Polsce Ludowej roku 1954 nie można przecież chwalić miasta jedynie za to, że w r. 1554 było „Polskimi Atenami”.

Przypomniało mi się, co o Pińczowie niegdyś powiedział sławny pisarz Adolf Dygasiński, który w tym mieście spędził młodość:

„Niech mi nie mówią, że w Pińczowie dnieje, bo w Pińczowie jeszcze ciągle ciemno”.

No tak, ale ile to wody w Nidzie upłynęło od tamtych czasów.

Dokończenie w następnym numerze



Fot. A. Kaczkowski

Lech Małaliński (Korbut) i Ewa Krasnodębska (Monika)

W TĘ NOC HISTORYCZNĄ

J. A. SZCZEPAŃSKI

WIEC pijmy wino... „Jeszcze jeden mazur dzisiaj”, „Dziś ostatnia niedziela...” W mieszkaniu pana majora Jana Korbuta zabawa wre do białego rana. Pan rotmistrz Łada w lansadach i podskokach, herbowy Poraj z Wołynia pod ramię z hrabiną Ciołek z Krakowa, panna Zuza, kapłanka miłości, omdlewająca w ramionach pana Gustawa, wybrańca bożka Merkurego — śpiew, muzyka, taniec, rozgrzana krew, radość...

Radość?

Radości tańca i wina nie mąci miasto, zanurzone w czułej, zaciemnionej nocy, sylwestrowy „szał” na krótko tylko zakłóca strach przed strzelającymi hitlerowcami: rychło się wyjaśnia, że to nie egzekucja, nie oblawa, że to jeno wiwaty powitalne na Nowy Rok.

Wojenny Nowy Rok 1944.

W Warszawie, w domu przy ul. Twardej 22.

A jednak nie wszyscy goście Korbuta i jego kochanki Klary, „geniusza interesów” z Niemcami, pogrążeni są w rozkosznej beztrosce. Pan Łada z leguńskiej sitwy, dzwoniąc ostrogami, przez chwilę ma wściekłość w oczach i myśli ku sprawom publicznym zwrócone: otrzymał był właśnie z delegatury poufne a ściśle wiadomości, że dzisiejszej nocy „komuna pójdzie na całego”, cśmieli się utworzyć rząd podziemny, o, pan rotmistrz dostał nawet do rąk manifest o powołaniu do życia Krajowej Rady Narodowej, jako faktycznej reprezentacji politycznej narodu polskiego... W zamglonym alkoholem mózgu sanacyjnego dygnitarza kłębią się złowrogie przeczucia... i już tylko na śmietnik?... już tylko fiu-me?

„Dziś ostatnia niedziela” szepce Gustaw do różowego uszka Zuzy... „Mazur to ostatni” mruć Łada, zasypiając w pijackim znużeniu. Kończy się jedna, burżuazyjna Polska, wyzyskiwaczy i bankrutów — ale w mieszkaniu obok powstaje już pierwsza władza nowej Polski, ludowej. Nim noc dobiegnie kresu...

...A Jan Korbut, były oficer legionowy, którego Kazimierz Korcelli obrał za bohatera swej nowej sztuki „Dom na Twardej”, odchodzi w cień nocy — człowiek nieszcześliwy, któremu hitlerowcy zamordowali syna na Pawiaku, człowiek

niepotrzebny, przegrany, którego zły ustrój nie mógł nauczyć żyć uczciwie. Losy Korbuta są osią fabularną „Domu na Twardej”, ale w istocie chodzi o coś więcej, o pokazanie końca starej ojczyzny i o narodzinę nowej, chodzi o zobrazowanie rozkładu i przegnicia tych sił i kias, które doprowadziły do wrześniowej klęski, i o przeciwstawienie im narodowego odrodzenia przez klasę robotniczą i jej walkę w okresie hitlerowskiej okupacji o narodowe i społeczne wyzwolenie.

Zamiar ambitny, trudny, odpowiedzialny. Co dał w ideowym i artystycznym rezultacie?

Dał sztukę teatralną jedną z najlepszych, jakie powstały w Polsce w ostatnich latach, a w dorobku dramatycznym autora „Papugi”, „Bankietu”, „Czarnieckiego i jego żołnierzy” stanowiącą ogromny, rewelacyjny krok naprzód. Dał sztukę zaludnioną postaciami z krwi i kości, napisaną z wybornym wyczuciem teatru, odtwarzającą życie i klimat okupowanej Warszawy prawdziwie i sugestywnie. Z dwu światów, postawionych na przeciw siebie, plastycznie, barwniej, dramatycznie celniej ukazany jest światek Ładów, „wojewodów wołyńskich” i Gustawów, „prezesów Izby Przemysłowo-Handlowej”, świat obszarników Porajów, aferzystek i awanturników Klar, puszczałów Zuz, świat wreszcie kapitanów Bruków, „narodowców” na bezpośrednich usługach gestapo. Ale i ci szeregowi ludzie nowej Polski, których Korcelli wprowadził na scenę (peperowiec Frankowski, gwardziści Adam i Sowa) mają w sobie duży ładunek emocjonalnego oddziaływania na widza, pozabawieni są deklaratywności, realizują nieźle postulat ucziłowienia bohatera pozytywnego. W sumie powstała sztuka mocna ideowo, artystycznie na ogół wytrzymała, o dużych walorach widowiskowych. Nic dziwnego, że ubiegają się o nią teatry od Zielonej Góry do Białego Stoku, że reprezentacyjnej premierze w Teatrze Kameralnym w Warszawie (teatr ten monopolizuje w stolicy prapremiery dobrych polskich sztuk współczesnych — zjawisko równie dodatnio świadczące o zapobiegliwości jego kierownictwa literackiego, jak o niefrasobliwości kierownictwa innych teatrów) towarzyszą premiery w pięciu innych miastach Polski, za którymi pójdą dalsze. Widz z uwagą i przejęciem śledzi akcję sztuki i — jeśli o Teatr Kameralny chodzi — z całym uznaniem wypowiada się o reżyserii Bronisława Dąbrowskiego, o grze takich aktorów jak Lech Małaliński (Korbut), Ewa Krasnodębska (Monika Korbutówna), Tadeusz Surowa (Łada), Ignacy Gogolewski (Adam), Marian Łącz (Sowa)...

Czy widzom wszystko w sztuce się podoba, żadnych nie wytykają skaz na dramatycznym obrazie? Oczywiście, dostrzegają i błędy sztuki, i mają o niej jedno do Korcellego pretensję, a pod adresem teatru też kierują pewne zarzuty. W szczególności wydaje się, że Korcelli zanadto wiele względów poświęcił dusznym perypetiom starego Korbuta, który w trosce o życie własnego syna wydaje faszystom życie Adama, ukochanego swej córki; świetna gra Małalińskiego jeszcze bardziej usiłuje jakby pomniejszyć winę Korbuta. Nie pogłębiona jest postać Moniki Korbutówny, którą jakby tylko uczucie dla Adama kieruje do szeregów AL. Błado, o ile chodzi o sprawę Korbutów, wypada zakończenie dramatu, nie rozwinięty został ważny wątek dwu ojców, przeciwstawienie egoistycznej, antyhumanistycznej postawie Korbuta — wspaniałej, komunistycznej postawy Frankowskiego, który był ojcem ginącego w walce Adama.

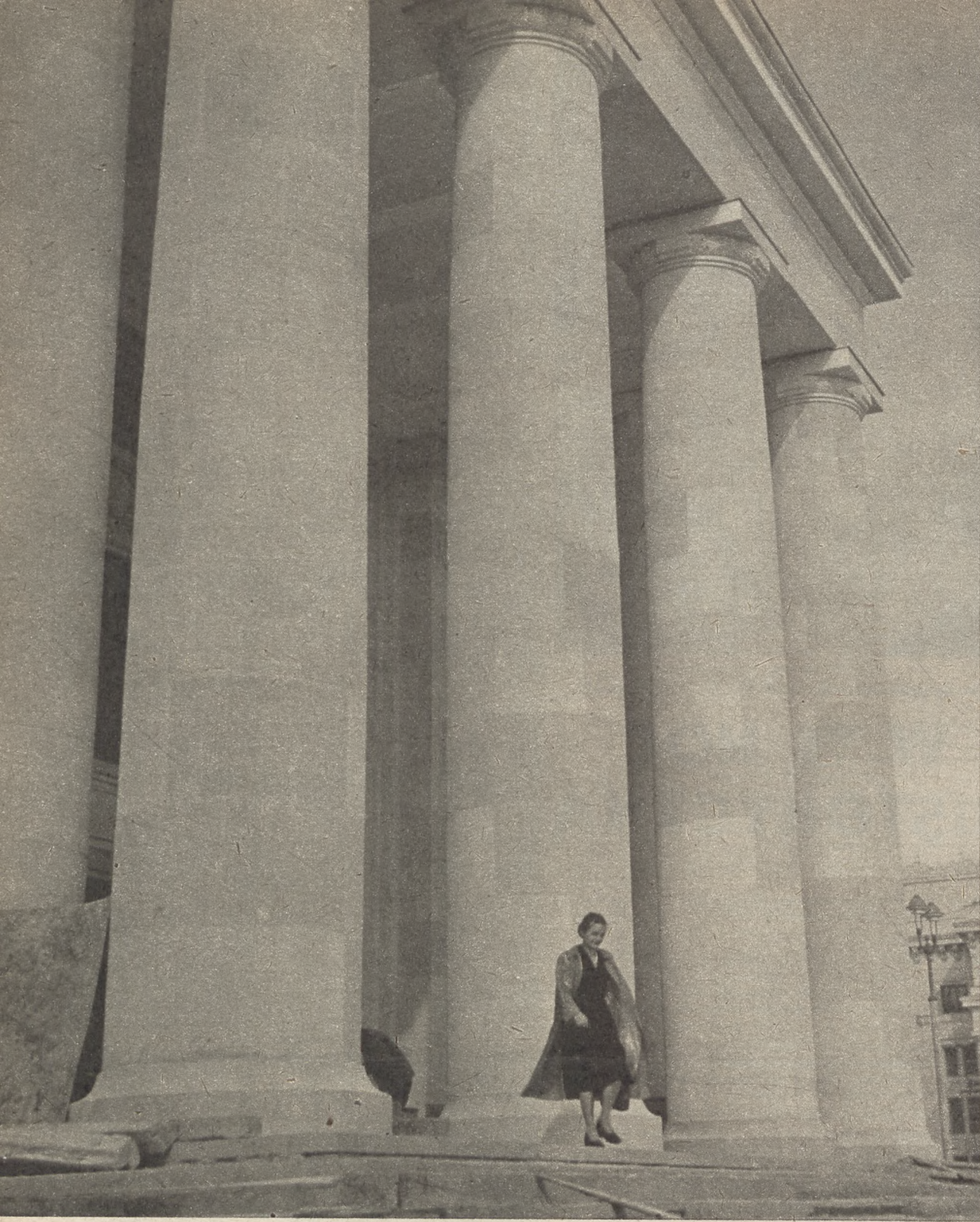
Na te usterki, niedociągnięcia, niedopowiedzenia sztuki narzekamy, zrzedzimy — ale nie niweczą one radosnego poczucia, że w „Domu na Twardej” uzyskaliśmy jednak sztukę bardzo wartościową, sztukę, która w pełni zasługuje na powodzenie. Pod szczęśliwą gwiazdą znalazł się dom na Twardej, nieśmiertelny przez historię. „Dom na Twardej” Korcellego zbudowany został solidnie, z materiału trwałego, który długo oprze się działaniu czasu w teatrze czy w literaturze.

Scena zbiorowa z ostatniego aktu sztuki Korcellego „Dom na Twardej”

Fot. A. Kaczkowski

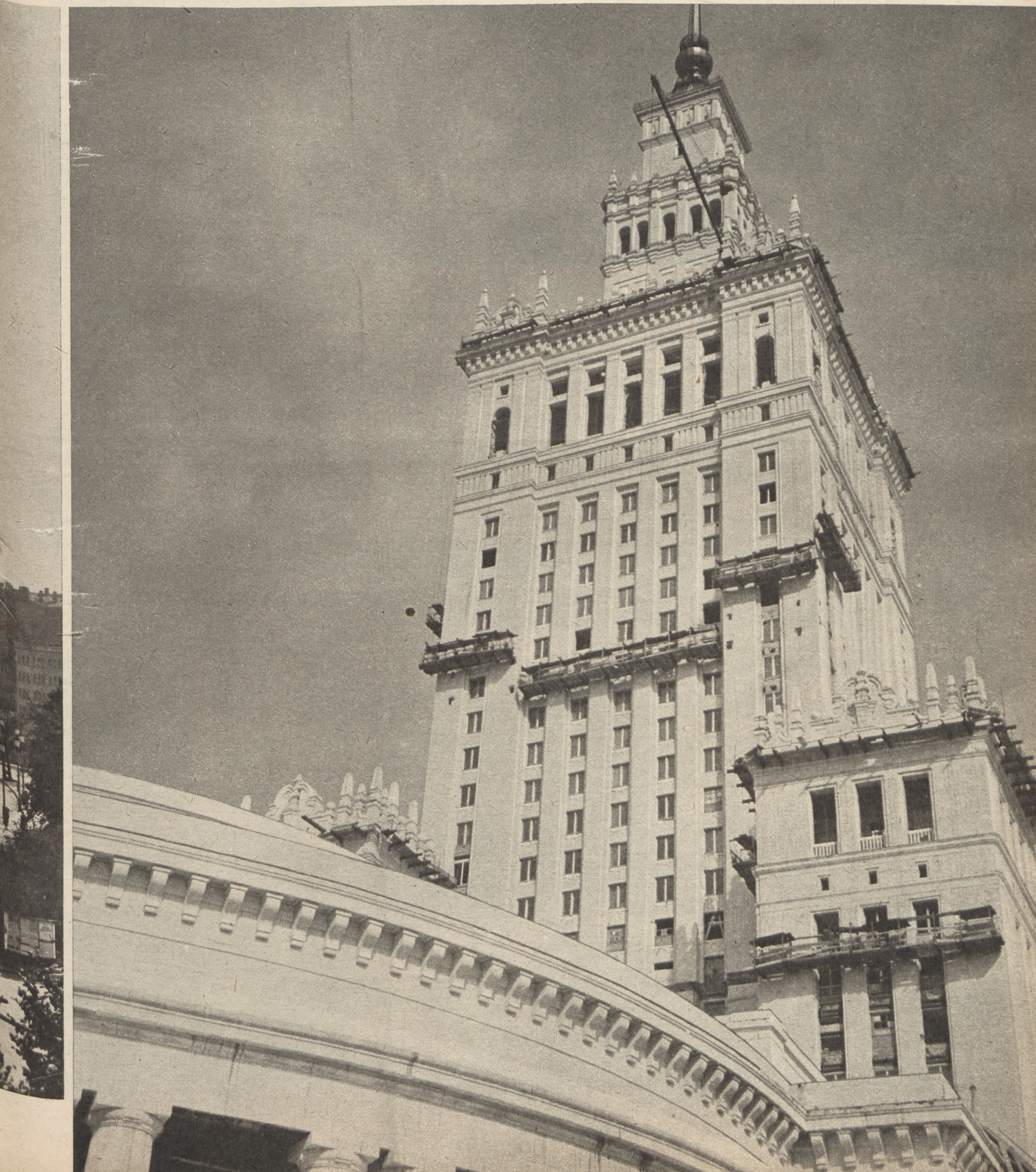


PAŁA



Zdjęcia: WŁADYSŁAW SŁAWNY

AC PRZYJAŹNI





GDY ZAPADAŁ WYROK...

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI

30 września 1946

NERWOWO jemy śniadanie i spieszymy do Trybunału. Dziś ogłoszone będą przez sąd motywy wyroku. Sala wypełniona po brzegi. Oczy bolą od reflektorów.

Na sali rozpraw panuje śmiertelna cisza. Słychać tylko głos sędziów, którzy kolejno odczytują motywy wyroku. Na ławie oskarżonych spokój, ale z wyraźnymi oznakami zdenerwowania. Hess w końcu nie wytrzyma. Załamuje się, dostaje jakichś kurczów, wyprowadzają go z sali. Ribbentrop przeciera twarz. Nie ma już miny komiwojażera hitlerizmu, jest błąd i wie dobrze, że będzie musiał za swe zbrodnie ciężko zapłacić. Keitel, całkiem siny na twarzy, milczy. Kaltenbrunner patrzy ponuro na Trybunał, gdy słyszy o rozkazu: „Nacht und Nebel”. On to kazał porywać ludzi, aby potem znikali jak we mgłę. Intrygant Papen, „diabeł w cylindrze”, przeciera oczy chustką. Frank patrzy w ziemię.

Cały dzień trwa czytanie motywów. Do hotelu wracamy przybici wspomnieniami hitlerowskich zbrodni. Tego wieczoru wszystkie imprezy były odwołane. Wszyscy robili notatki na dzień następny.

PIERWSZA SENSACJA

1 października

Rano spieszymy co sit do sądu. Gwar na sali. Marszałek Trybunału, generał Mitchell, wzywa do zachowania spokoju. Za chwilę wchodzi komplet sędziowski. Wszyscy wstają. Sędzia Lawrence rozpoczyna odczytywanie motywów do spraw poszczególnych oskarżonych. Ogłoszenie wymiaru kary nastąpi dopiero po obiedzie, i to indywidualnie. Schacht, Papen i Fritzsche zostają uniewinnieni. Trzeba zaznaczyć, że amerykańscy korespondenci dowiedzieli się wcześniej „swoimi chodami” o ich uniewinnieniu i już podczas sesji dawali Papenowi i Schachtowi znać na migi.

Przy obiedzie wszyscy piekła się na wyrok uniewinniający ową trójkę. Jeden z Belgów krzyczy na całą salę: „Powieść wszystkich łajdaków! My, Belgowie, Polacy, Holendrzy — znamy tych panów! Nikt nie powinien ująć sznura!” Tymczasem na sali prasowej Trybunału (sławny Nr 580) telegram, telefon i maszyny do pisania pracują bez przerwy. Świat łowi wieści z Norymbergi. Fotoreporterzy strzelają aparatami. Piszący na kilku maszynach, aby obsłużyć nasze gazety. Tyle mamy materiału, aż się w głowie kręci. Dziennikarze pracują jak szaleni.

Jeszcze tylko godzina dzieli nas od ogłoszenia wymiaru kary pozostałym „norymberczykom”.

Zbliża się kulminacyjny punkt procesu. Amerykanie trzymają zakłady. Anglicy interesują się odlotem samolotu. Przeznaczonego dla prasowego, major Dean, rozdaje korespondentom odbite na powielaczu gotowe „reportaże z sali obrad”. Wystarczy wstawić datę i wymiar kary: „Na sali wielki ruch. Wszyscy czekają na chwilę ogłoszenia wyroku. Oto wchodzi sędzia... aby odczytać wyrok... skazanego na... Oskarżony... błędnie i cofa się” itd. W Europejskich budzi to wszystko niepoohamowany śmiech...

1 października 1946 roku, po prawie dziesięćmiesięcznej rozprawie, zapadł wyrok Międzynarodowego Trybunału Wojennego w Norymberdze — przeciwko głównym zbrodniarzom wojennym, Goeringowi i innym paladynom Hitlera. Nie wszyscy jednak ponieśli zasłużoną karę. Jak wiadomo, Papen, Schacht i Fritzsche zostali uniewinnieni — przeciwko czemu zaprotestował sędzia radziecki, generał Nikiczenko. Już wtedy potentaci z Wall Street dali znać pogrobowcom Hitlera, imperialistom i militarystom niemieckim, że nie wszyst-

ko jeszcze dla nich przepadło. Po ośmiu latach od chwili wydania wyroku przez Trybunał Norymberski nie tylko Schacht czy Papen są na wolności. Tysiące zbrodniarzy wojennych, katów i oprawców okupowanej Europy, opuścili więzienne cele, aby u boku Waszyngtonu realizować nowe plany odwetowe spadkobierców polityki Hitlera. Jednakże wyrok norymberski pozostanie w historii ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy pragną pójść śladami Goeringów, Franków i Hessów.

Gdy po przerwie obiadowej sędzia Lawrence otworzył ostatnią i najkrótszą sesję procesu norymberskiego, ława oskarżonych była pusta. Czekamy w napięciu. Po chwili otwierają się boczne drzwi i dwóch żołnierzy amerykańskich wprowadza pod rękę Goeringa. Staje on w przejściu i wkłada słuchawkę. Sędzia czyta, że jest on skazany na śmierć przez powieszenie. Goering jednak nie słyszy: coś popsuło się w aparaturze. Sędzia powtarza wyrok drugi raz. Nic z tego. Zamieszanie na sali. Goering macha ręką, uśmiecha się kwaśno. Dostają monitery, manipulują coś przy drutach. Po minucie aparat znowu działa. Goering wkłada ponownie słuchawkę, prostuje się. Wypływały mundur marszałkowski zwisa na nim. Sędzia Lawrence powtarza po raz trzeci: „Oskarżony Hermann Goering winien jest zarzuconych mu zbrodni i skazany zostaje na śmierć przez powieszenie”. Goering stoi przez sekundę nieruchomo, po czym zdejmując gwałtownie słuchawkę i szybko znikając za drzwiami. Powtarzają się to z małymi zmianami. Kilkoroście razy. Hans Frank zjawił się na sali po raz pierwszy bez swoich czarnych okularów. Staje niepewnie, rozgląda się, ręce rozczapierzył, nagle słyszy słowa, które obwieszają mu sromotny koniec. Chwilę stoi, nie wie, co robić. Żołnierze zdejmują mu słuchawkę i niemal wyciągają go z sali.

O godzinie 15.37 przewodniczący Lawrence zamknął posiedzenie. Podał też do wiadomości, że sędzia radziecki złożył votum separatum do wyroku, protestując przeciwko uwolnieniu Schachta, Papena i Fritschego oraz domagając się wyroku śmierci dla Hessa. Domagał się również ogłoszenia za organizację zbrodni: sztabu generalnego i rządu Rzeszy. Otrzymałszy natychmiast od delegacji radzieckiej doskonałe opracowane motywy protestu. Zwróciło naszą uwagę, że podczas ogłaszania wyroku śmierci na niemieckich generałów anglosascy oficerowie opuścili salę Trybunału. Prostym śladem wniosk, że wyrok był tym panom uprzednio znany. W ten sposób wyrazili swój protest przeciwko karze śmierci dla wojskowych.

Wieczorem pracowaliśmy w pokoju prasowym. Pułkownik McConnel, nowy szef

Press Campu, wpada zaaferowany z nowiną, że za chwilę zjawia się u nas Schacht, Papen i Fritzsche. Ledwie to powiedział, a już pułkownik Andrus, szef więzienia (znany ze swego wyklęwanego helmu), wprowadza uwolnioną trójkę zbrodniarzy. Część dziennikarzy protestuje. Amerykanie rozpoczynają jednak natychmiast pogon za sensacjami. Schacht powiada, że udzieli odpowiedzi i da autografy pod warunkiem, że otrzyma czekoladę dla swoich dzieci. Amerykanie „organizują” czekoladę i zadają pytania. Rosjanie, Francuzi i my protestujemy. Madeline Jacob wskakuje na stół i krzyczy do Schachta: „Nasze dzieci we Francji latami nie miały czekolady. A ich rodziców mordowało gestapo...” Robi się rwetes. Francuzi i Belgowie ciskają papierami w Schachta. Dziennikarze austriaccy grożą Papenowi i domagają się, aby wydał go Austrii — za prowokację anchlussowe. Jest tak „gorąco”, że wojskowa policja wyprowadza hitlerowską trójkę. Nie mają zresztą dokąd iść, gdyż władze niemieckie domagają się wydania ich trybunałom denazyfikacyjnym. Idą więc spać do swych cel. Dopiero po kilku dniach ukradkiem opuszczają więzienie. Są nadal pod ochroną władz amerykańskich, ale Norymberg nie mogą opuścić, gdyż już na rogatce czeka na nich niemiecka policja.

PRZED EGZEKUCJĄ

15 października

8 dziennikarzy będzie bezpośrednimi świadkami egzekucji z prawem robienia notatek. Razem w hali obecnych będzie 45 osób, w tym dwóch „oficjalnych” świadków niemieckich: premier Bawarii Hoegner i naczelny prokurator Bawarii, Leistner. Ogłoszono zarządzanie, że ludność dostawać będzie odtąd 1.550 kalorii żywienia dziennie. Najważniejszy temat dnia. W obliczu tego błędnie dla Niemców sprawa egzekucji.

NAJWIĘKSZY SKANDAL

17 października

Skandal z samobójstwem Hermanna Goeringa zatacza coraz szersze kręgi. Przez siedem godzin oszukiwano prasę, usiłując zataić sprawę śmierci Goeringa.

Aby zrozumieć, co się stało w Norymberdze w nocy z 15 na 16 października, należy cofnąć się do chwili, kiedy prasa otrzymała wiadomość, że dziś wieczorem odbędzie się egzekucja skazańców. Wszyscy przeniesli się na noc do gmachu Trybunału. Na stołach, ławkach, krzesłach

drzemali dziennikarze. Byli jednak i tacy, którzy postanowili na własną rękę złowić sensację lub przynajmniej wcześniejszą relację o egzekucji. W tej konkurencji każda minuta miała znaczenie — przede wszystkim dla prasy amerykańskiej, której każde nowe wydanie musiało podać dalszą egzekucję (dosłownie). Ale z takim stanem rzeczy zupełnie nie liczyły się władze wojskowe. Wydawcy i redaktorzy z całego świata raz po raz prosili specjalnymi depeşami o nowości, aby reportaż o egzekucji mógł „wejść” jeszcze do porannego wydania. Na trasie Norymbergi — Nowy Jork — Londyn szły bez przerwy rozmowy na temat przyszłych wypadków. Niektórzy korespondenci, aby tylko „utrzymać linię” w swoim posiadaniu, nadawali po prostu zmyślone wiadomości (jeden ponoć cytował wersety z Biblii) — na rachunek wydawcy. Kosztowało to bajorńskie sumy. W takim to napięciu wyczekiwano na oficjalny komunikat i na powrót kolegów, którzy asystowali przy egzekucji.

Naciskany coraz natęczywiej przez redakcję korespondent agencji Reutersa, Eric Bourne, nie wytrzymał w końcu i nie czekając dłużej wysłał w świat wiadomość, że wszystkich jedenastu zbrodniarzy powieszono. Znakomita większość porannych dzienników, nie wyłączając tak ostrożnych pism jak „Times” i „Manchester Guardian”, podała niezwłocznie wiadomość Bourne’a na czołowym miejscu. Ponieważ zaś było już poprzednio ustalone, że jako pierwszy ma pójść na szubienicę Goering, wiadomość zawierała również i ten szczegół.

Za Reuterem podał tę wiadomość prawie cały świat — także i gazety polskie odbierające depeşy Reutersa. Ośmiu naocznych świadków było „uwięzionych” w hali egzekucyjnej i nie mogło niczego przemycić na zewnątrz. Zaskoczyło ich to — jak później nam opowiadali — że Goering nie idzie pierwszy na egzekucję. Dopiero gdy po ostatniej egzekucji na noszach wniesiono zmarłego Goeringa, aby naocznie przekonać prasę, że nie żyje, wszyscy zebrani w hali dowiedzieli się o jego samobójstwie.

A przecież w istocie rzeczy prawda tej niesamowitej nocy wielokrotnie pukała do drzwi naszego pokoju. Przed północą jeden ze strażników amerykańskich zadzwonił tajemniczo do Betty Knox z londyńskiej wieczerówki „Evening Standard” i zawołał: „Hej, czy słyszałaś, Betty, że gruby Hermann się otrul?” Betty wprawdzie dobrze знаła strażnika — stale miała od niego wiadomości do działu „plotek z Norymbergi” — ale tyle krążyło ostatnio bzduń na temat egzekucji, że nie wzięła tego poważnie.

Ale wróćmy na salę prasową Trybunału. W godzinę po telefonie do Betty Knox mój przyjaciel z berlińskiego Press Centru, Robert Gary, miły rudzielec, który pracuje dla radia „Mutual” i dla agencji ONA (nie wiem, co się z nim obecnie dzieje, odkąd zaczął głosić inne poglądy niż oficjalny Waszyngton), otrzymał tak samą wiadomość od innego wartownika, swego kolegi z wojska. „Człowiek może zrujnować swoją karierę w pięć minut — powiedział pocztowy Robert — transmitując podobne głupstwa...” Nikt na sali nie uwierzył w samobójstwo Goeringa.

W trzy i pół godziny po powieszeniu Seyss-Inquarta o godzinie 6.30 rano, a więc prawie w osiem godzin po samobójstwie Goeringa, na sali zjawił się pułkownik Andrus, szef ochrony więziennej, i cały szary z wściekłości i wstydu zakomunikował o tym, co zaszło ubiegłego wieczoru w więzieniu. Podał również, iż został zdymisjonowany. Eric Bourne z „Reutersa” był w tym momencie tak błąd, jakby sam miał wstąpić na schodki szafoty... „Miał Bourne — człowiek, który powiesił Goeringa!” Przylepiło się to do niego na wiele lat. „Reuter” go zresztą wydal.

OSTATKI

20 października

Ostatni dzień w Norymberdze. Pakujemy manatki. Trochę statystyki: Trybunał odbył 405 posiedzeń jawnych. W ciągu dziesięciu miesięcy 40 stenografów utrzymało na papierze cztery miliony słów. Oskarżyciele przedłożyli Trybunałowi 2.630 dokumentów, obrońcy zaś 2.700. Przesłuchano 240 świadków i zebrało ponad 300 tysięcy zaprzysiężonych wypowiedzi (affidavits). Przebudowa gmachu, w którym mieścił się Trybunał, kosztowała milion dolarów. Sędziowie mieli do swojej dyspozycji przy opracowywaniu motywów wyroku ponad 27 tysięcy metrów taśmy dźwiękowej z posiedzeń jawnych (czytać było nie sposób). Poza tym nagrano śledem tysięcy płyt. 200 ton papieru poszło na kopie dokumentów. Sam tylko magazyn wydał 22 tysiące ołówków.

(Fragmenty z książki „W cieniu norymberskiej Temidy”, wyd. „Czytelnik” 1954 r.).

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

DLA PAŁACU KULTURY I NAUKI

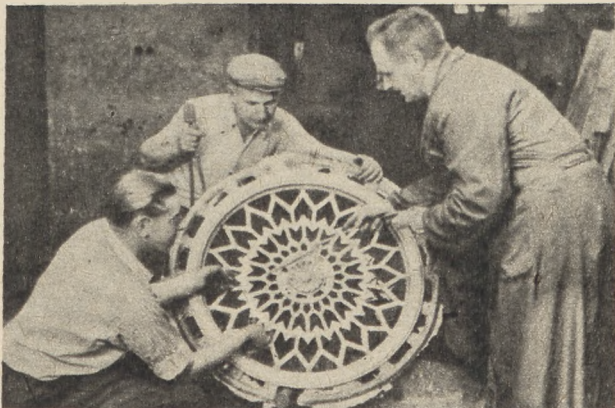
Mało kto wie, że piękne kraty, które zdobici będą Pałac Kultury i Nauki, wykonują na zamówienie Związku Radzieckiego pracownicy Spółdzielni „Odlewnik” w Szczecinie.

Nad zamówieniem tym pracuje cała załoga „Odlewnika”. Każdy szczegół, modelowany dokładnie wg rysunku blura projektów w Moskwie, zanim dotrze do rąk majstra Placwicza, który z gotowych już elementów składa całość — przechodzi przez szlifier-

nię, galwanizatornię i ślusarnię.

Dotychczas spółdzielnia wykonała 12 krat żelaznych do hallu, 25 ozdobnych osłon na kaloryfery, mosiadowane kraty witrażowe oraz składający się z 12 części piękny plafon do sali konferencyjnej, który przy transporcie zajął pół wagonu.

Pracownicy spółdzielni szczecińskiej dumni są, że dzieła ich rąk zdobici będą dar Związku Radzieckiego. St. Cieślak, Szczecin



J. Gejdek i formierz F. Florczak sprawdzają wraz z inż. Skwirzynskim (z prawej) wyjętą z formy kratę z aluminium

JAK DŁUGO JESZCZE?

Przy ul. Kościuszki w Krynicy-Zdroju ten oto budynek od wielu lat straszy pustymi oczodołami okien. Prywatny jego właściciel czeka zapewne „lepszych czasów”. My jednak nie możemy dopuścić, by dom zwałił się w gruzy, gdy jeszcze wielu ludzi pracy nie może wyjechać na wczasy lecznicze z braku miejsc, szczególnie w Krynicy.

Sądzę, że te obiekty (bo jest takich w Krynicy więcej), powinien przejąć Fundusz Wczasów Pracowniczych, względnie „Orbis” i najdalej w przyszłym sezonie oddać do użytku świata pracy.

Stefan Sobociński, Warszawa



— SPÓŁDZIELCY MIASTA — SPÓŁDZIELCOM WSI —



Rzemieślnicy naprawiali maszyny rolnicze...

Związek Branżowy Spółdzielni Pracy w Warszawie otoczył opieką młodą gromadę spółdzielczą Kłukówek (wieś Gołębki) w powiecie nasielskim. W sierpniu warszawscy spółdzielcy zorganizowali pierwszy wyjazd ekipy, w której skład weszli członkowie poszczególnych spółdzielni rzemieślniczych oraz Lekarsko-Dentystyczna Spółdzielnia Pracy.

Spółdzielcy przyjęli gości serdecznie i tłumnie przychodzili po radę i pomoc.

Mimo zmęczenia podróży i całodzienną pracą, wyjazd dał wiele zadowolenia członkom ekipy.

Michał Soltan, Nasielsk

KĘDZIERZYN — MIASTO CHEMII

Kędzierzyn — miasto chemii liczące obecnie niespełna 20 tys. ludności, rozrośnie się w niedalekiej przyszłości ponad pięciokrotnie. Jedno z

osiedli, Pogorzec, jest już niemal gotowe, a obecnie trwają roboty w Nowej Dzielnicy Mieszkaniowej.

Jan Borski, Wrocław



Tak wygląda nowe osiedle Pogorzec w Kędzierzynie

SPORTOWCY WIEJSZY ZAGOSPODAROWUJĄ ODŁOGI

Apel Zarządu Głównego ZMP, wzywający młodzież do pionierskiej pracy w nowo-organizowanych zespołach PGR, wywołał szeroki odzew w całym kraju. Zgłaszają się dziewczęta i chłopcy — robotnicy, inteligenci i chłopci, aby stanąć do walki o pełne zagospodarowanie odłogów.

Nie pozostali na uboczu i sportowcy wiejscy.

LZS-owiec Ludwik Piątek z Zawady (pow. Pszczyna) zgłaszając się do zaciągu pionierskiego powiedział:

— Gdy czytałem w „Sztandarze Młodych” o tysiącach komsomolców wyjeżdżających na odległe krańce Związku Radzieckiego, by

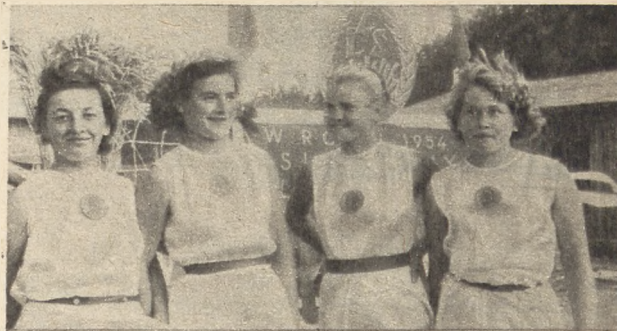
dopomóc w likwidowaniu ugorów, pomyślałem sobie, że i my powinniśmy stanąć do podobnej pracy.

Danuta Abaszow, która pierwsza w Sosnowicy (pow. Włodawa) zgłosiła się do pracy w PGR, cieszy się, że przyczyni się do zagospodarowania bezużytecznych dotychczas ugorów.

Na apel ZMP stanęła również Anna Łepicka z LZS Sulewa (pow. Grajewo), przodownia pracy w brygadzie rolnej „SP”.

Dziewczęta te zachęciły do zgłoszenia się do zaciągu Marię Tomaszewską i Annę Siemieniuk.

Tomasz Czabański, W-wa
Zdjęcie: Pajek



A. Łepicka, M. Tomaszewska, D. Abaszow i A. Siemieniuk — jedne z pierwszych zgłosiły się na apel ZMP

SZANUJMY WYDMY NADMORSKIE



Umiejscowienie piasków wydmy wymaga wiele wysiłku — beztroskie wczasy nie upoważniają do niszczenia

Wydm nadmorskie są pasem, który — w okresie szturmów wiosennych i jesien-nych — chroni tereny przybrzeżne przed zalaniem falami Bałtyku. Wielu wczasowiczów nie zdaje sobie widocznie z tego sprawy i niszczy te tereny: urządzenia brzegowe i roślinność wydmy. Najczęściej wiele szkody wyrządza dzieci, które urządzając zabawy w piasku, wyciągają z szachownic umocnieniowych trzciny, wyrwają zasadzone tam trawy morskie: wydmuchując, żytnicę czy turzycę, lub łamią gałęzie rzadkich krzaków rakiet-

nika, karłowatych sosen i wszelkiego rodzaju wierzb nadmorskich.

Wskazane jest, by w przyszłych sezonach letniskowych zainteresowały się tym zagadnieniem nadmorskie dyrekcje FWP i kolonii dziecięcych. Aparat kulturalno-oświatowy może przecież instruować wczasowiczów przybywających nad morze o skutkach dewastacji brzegów morskich, która zuboża naszą i tak skromną roślinność nadbałtycką i utrudnia umiejscowienie ruchomych wydm piaszczystych.

M. Bakota, Szczecin

„PUSTO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE...”

Regulice, liczące około 2 tysięcy mieszkańców, są jedną z największych gromad powiatu chrzanowskiego (woj. krakowskie). Posiadają własne kino wiejskie i własną świetlicę, które mieszczą się w tej samej sali, w budynku stojącym w centrum wsi. Kino czynne jest tylko raz w tygodniu — w niedzielę, świetlica otwarta jest codziennie. Na seanse kinowe przychodzi bardzo niewiele osób, a świetlica zwykle świeci pustkami. Zupełnie inaczej dzieje się w sąsiedniej gromadzie, która każdego dnia i o każdej porze tętni życiem i gwarem.

Trudno się temu dziwić. Już samo dojeżdżenie do kina świetlicy może niejednego odstraszyć. Tuż pod budynkiem znajdują się wielkie, nigdy nie wysychające kałuże brudnej wody i błota. Zapowiedziane seanse filmowe

często nie odbywają się, gdyż właśnie tego dnia w świetlicy odbywa się zabawa taneczna.

A świetlica jest świetlicą jedynie z nazwy. Nie ma tam gler, prasy ani radia. Pusto i głucho. Niewielka biblioteczka (mało i nienajlepiej dobranych książek), podarowana gromadzie przez Fabrykę Lokomotyw w Chrzanowie, jest chyba jednym z najoryginalniej skatalogowanych zbiorów. Książki zapisane są nie według alfabetu nazwisk autorów, lecz ich imion.

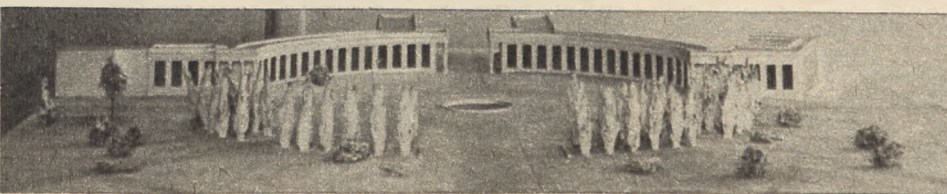
Sądzić należy, że przyszła Gromadzka Rada Narodowa w Regulicach zwróci baczniejszą uwagę na te sprawy i stworzy mieszkańcom gromady warunki przyjemnego spędzenia wieczorów w kinie i świetlicy.

Z. Jarkiewicz, Warszawa



Ta świetlica nie zachęca, ale odstrasza...

DOM PLASTYKÓW W WARSZAWIE



Makieta Domu Plastyków.

W Warszawie przy Rondzie Waszyngtona buduje się Dom Plastyków według projektu inż. M. Leykama. W gmachu tym znajdą pomieszczenia pracowni malarskie, sale wystaw, biblioteka, czytelnia, świetlica oraz hotel dla artystów. Projektuje się tu również urządzenie sklepów, kawiarni i antykwarium „Desy”.

M. Marciniak, W-wa

PO 50 LATACH...



W roku 1892 powstała jedna z najbardziej postępowych i rewolucyjnych sztuk teatralnych — „Tkacz” — napisana przez G. Hauptmanna. Autor, wnuk tkacza, przedstawił w swej sztuce powstanie tkaczy śląskich z Bielawy i Pieszyc.

Rok powstania — 1844, był okresem największej nędzy wśród tkaczy śląskich. Połowa śmierć głodowa stawała się zjawiskiem masowym. Dzienny zarobek tkacza wynosił 1 srebrny grosz, za któ-

ry można było nabyć aż... funt razowego chleba.

Sztuka Hauptmanna nie była grana przez blisko 50 lat. Ostatni raz grał ją teatr łódzki za dyrekcji Zelwerowicza, w 1904 roku. W Polsce sanacyjnej sztuka ta była zabroniona przez cenzurę. Po półwiecznej przerwie „Tkacz” po raz pierwszy wystawił zespół amatorski Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. I Armii z Bielawy.

A. Libarda, Wrocław

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

„PRAKTINA”

Spśród licznych nowości technicznych szczególnie interesującą pozycję zajmuje nowy model aparatu „Praktina”, produkcji NRD. Jest to ulepszony model popularnego aparatu „Praktika”, ma taśmę filmową szerokości 35 mm. „Praktina” posiada migawkę szczelną od 1/1000 do 1 sekundy, nastawianie szybkości na jednej tylko tarczy. Migawka sprzężona jest z zapłonem lamp błyskowych. Oprócz celownika pryzmatycznego, tak jak w „Contaxie S” czy „Exakcie-Varex”, dającego się wymieniać, „Praktina” posiada również wbudowany celownik lunetkowy, szczególnie przydatny do zdjęć sportowych.

Do aparatu „Praktina” stosować można obiektywy wymienne o ogniskowych od 35 mm do 50 cm., łatwo dające się osadzić w uchwycie bagietowo-gwintowym.

Interesujące i wszechstronne jest dodatkowe wyposażenie tego aparatu, jak szybki naciąg migawki i transport filmu przy pomocy sprężyny, umożliwiającej wykonanie serii 10 zdjęć „jednym tchem”, oraz nasadka pryzmatyczna do zdjęć stereoskopowych. Na specjalne wyróżnienie zasługuje praktyczne, niezwykle wygodne urządzenie do reprodukcji i zdjęć z bliska małych przedmiotów, z rozciągającym mieszkaniem skórzanym, zastępującym pierścienie pośrednie. Do reprodukcji stosujemy zamiast celownika pryzmatycznego — celownik lusterkowo-matówkowy wraz z wbudowaną dodatkową lupką, pozwalającą na precyzyjne nastawienie ostrości.

Nowy model aparatu „Praktina” po raz pierwszy pokazany był na zeszłorocznych Targach Lipskich. Jego uniwersalność i różnorodność wyposażenia wygodnego w praktyce i pomysłowo skonstruowanego, zapewniły mu od razu wielkie powodzenie i zapotrzebowanie, przekraczające znacznie możliwości zakładów produkcyjnych.

„SENSO”

Luchino Visconti — twórca znakomitych realistycznych filmów włoskich „Ziemia drży” i „Najpiękniejsza”, w bieżącym roku zrealizował film historyczny poświęcony walkom o zjednoczenie Włoch pt. „SENSO”. Film ten Luchino Visconti zrealizował dla zadokumentowania, że kinematografię włoską stać na dzieła mówiące w sposób realistyczny nie tylko o dniach dzisiejszych, ale także o przeszłości narodu. Film „Senso” oparty na wspaniałej tradycji historycznej jest artystycznym protestem przeciwko produkowaniu we Włoszech filmów „historycznych” gloryfikujących imperialistyczne rozboje przeszłości i przypominających niedwuznacznie czasy faszystów.

W rolach głównych filmu wystąpiła m. in. Alida Valli (Livia), Massimo Girotti (Ussoni), Farley Granger (Franz) i inni. A oto treść tego filmu:

JEST rok 1866. Mimo zwycięstw Garibaldi’ego jeszcze niecałe Włochy zostały zjednoczone: państwo kościelne utrzymuje się dzięki pomocy wojsk francuskich, a Wenecja pozostaje pod okupacją austriacką.

W Wenecji jednym z przywódców ruchów wolnościowych jest markiz Roberto Ussoni. Podczas manifestacji patriotycznej zostaje on aresztowany. Dzięki jednak wstawiennictwu swojej krewnej, księżny Livii, unika surowego wyroku, jaki grozi mu za tego rodzaju wystąpienie, i zostaje skazany jedynie na wygnanie. Livia szukając protekcji dla krewnego poznata austriackiego oficera Franza Mahlera. Między nimi nawiązała się nić sympatii, która rychło przeobraża się we wzajemną miłość.

W czerwcu tegoż roku wybuchła wojna austro-pruska. Włochy stają po stronie Prus i rozpoczyna się walka o wyzwolenie Wenecji. Przed Livią stają dwie alternatywy: wybrać miłość i zostać z Franzem w Wenecji, czy wraz z mężem i Ussonim, kierującymi teraz ruchem partyzanckim, opuścić miasto. Zwycięża poczucie obowiązku i Livia wybiera tę drugą. Ale Franz ucieka z frontu i poszukuje ukochanej. Kiedy znajduje ją w wiejskim dworku, konflikt ponawia się, ale Livia i tym razem opuszcza Franza.

W tym czasie jeden z oddziałów włoskich dowodzonych przez Ussoniego, w bitwie pod Custozzą odnosi zwycięstwo nad Austriakami. W walce ginie jednak mąż Livii. Livia, mimo że z mężem łączyły ją nie tyle uczucia, ile węzły rodowe i walka o wspólną sprawę, boleśnie odczuwa tę stratę i popada w depresję psychiczną. Wtedy właśnie pojawia się Franz i Livia tym razem godzi się pozostać z nim na uboczu od walki.

Franz jest jednak — o czym Livia jeszcze nie wie — mimo wykształcenia i czarujących manier, człowiekiem o niskich pobudkach działania, nie przebijającym w środkach cynikiem. Pewnego dnia Franz przypadkiem dowiaduje się o miejscu pobytu Ussoniego i denuncjuje go przed żandarmerią, dla pokrycia swoich kompromitujących wyczynów dezerterskich. Ale zanim spadną nań laury za wydanie Włocha — Livia przejrzawszy matos kochanka donosi o jego dezercji do sztabu austriackiego, który wyrokiem sądu wojennego skazuje go na śmierć. Livia z powrotem włącza się do walczących przeciw monarchii habsburskiej.

Jeszcze w tym roku na mocy traktatu pokojowego Wenecja odzyskuje wolność.

Fotosy: UNITALIA FILM.



Alida Valli (Livia) i Farley Granger (Franz) — para kochanków z nowego filmu Luchino Visconti „Senso”

NAZIM HIKMET O FILMACH



Drugi od lewej Nazim Hikmet

UDAŁO mi się rozmawiać z Hikmetem dopiero po zakończeniu festiwalu w hotelu „Alcron” w Pradze. Poeta widział tylko kilka filmów wyświetlanych na festiwalu, pytam jednak o wrażenia.

— Zasadniczą różnicą między kinematografią postępową i kapitalistyczną — mówi Nazim Hikmet — jest to, że my robimy filmy dla ludzi, u kapitalistów zaś ludzie służą do zapewnienia zysków kinematografii. Gdy jednak nasi twórcy zapominają o tym, otrzymujemy filmy złe. W ogóle nasza krytyka filmów produkcji krajów demokracji ludowej i filmów radzieckich powinna być ostrzejsza — realizatorzy mają tu przecież wszelkie możliwości robienia dobrych filmów.

Tymczasem widziałem na festiwalu film czechosłowacki „Botostroj”, który trudno nazwać dobrym. Ani masy, ani główny bohater nie są pokazane prawdziwie.

Nasi reżyserzy często myślą, że gdy sfotografują tysiące ludzi, którzy wznoszą okrzyki, to ujrzymy na ekranie lud. Tymczasem każde zgromadzenie ludzi składa się z oddzielnych osób, z oddzielnych indywidualności. Weźmy przykład z klasycznego dorobku kinematografii radzieckiej, jak „Delegat floty”, „Młodość Maksyma”, „Pancernik Potiomkin”; tam w tłumie pamiętamy twarz każdego człowieka. W „Botostroju” tego nie ma.

W centrum filmu stoi negatywny bohater, Bata. W rzeczywistości był to sprytny i chytry kapitalista-demagog. W filmie zaś pokazany jest szablonowo. Dobrze chociaż, że nie wybrano do tej roli aktora z dużym brzuchem. Wpływ Baty na władze administracyjne przedstawiono w sposób karykaturalnie uproszczony.

Oglądałem też film produkcji NRD „Thaelmann — syn swojej klasy”. Moim zdaniem nie jest to film udany. Mój ukochany bohater Ernest Thaelmann nie został pokazany w rozwoju, nie widzimy ludzkich cech jego charakteru — jest odczłowieczony. Nie odczuwa się także w filmie wielkość Thaelmanna jako wodza, chociaż często wygłasza mowy.

Zresztą podobnymi wadami grzeszy i polski film „Żołnierz zwycięstwa” — opowieść o generale Świerczewskim.

Trzeba robić filmy biograficzne o wielkich ludziach klasy robotniczej, ale nie wolno zapominać, że widzieliśmy także piękne filmy, jak np. „Czapajew”, „Lenin w Październiku”, „Lenin w 1918 r.”.

Nieco speszony surowością sądów Nazima Hikmeta pytam, które filmy mu się podobały.

Niestety, widziałem na festiwalu tylko kilka filmów i o nich mogę mówić. Bardzo podobała mi się radziecka komedia „Wierni przyjaciele” (polski tytuł „Dygnitarz na tratwie”). Jest wesoła, a przy tym prawdziwa. Ludzie radzieccy pokazani są przy pracy i w czasie odpoczynku takimi, jakimi są w rzeczywistości. Nie jest to film dorównujący wielkim dziełom klasyki, ale takich filmów powinno się produkować dziesiątki.

Z polskiej produkcji widziałem tylko „Przygodę na Mariensztacie”. Śluszenie przedstawione są w tym filmie sprawy osobiste i sprawy budownictwa. Każda z nich ma swoje miejsce, a przecież wiążą się ze sobą. Film ma też różne wady, np. zbyt wolne tempo, pomieszanie realizmu z operetką — zbyt eleganckie kostiumy robotników. Na ogół jednak podoba mi się. Byłem rad, że znów przeniosłem się do miasta, które kocham — do Warszawy.

Pytam z kolei o najbliższe twórcze zamierzenia i osobiste plany poety.

Przygotowuję do produkcji wspólnie z czechosłowackim reżyserem, Jerzym Weisse, scenariusz opracowany na podstawie mojej „Legenda o miłości”. Mam też zamiar napisać wspólnie z Sartrem, Anną Seghers i jednym z argentyńskich pisarzy scenariusz filmowy o przyjaźni między narodami. Film byłby nakręcony we Francji lub w Czechosłowacji.

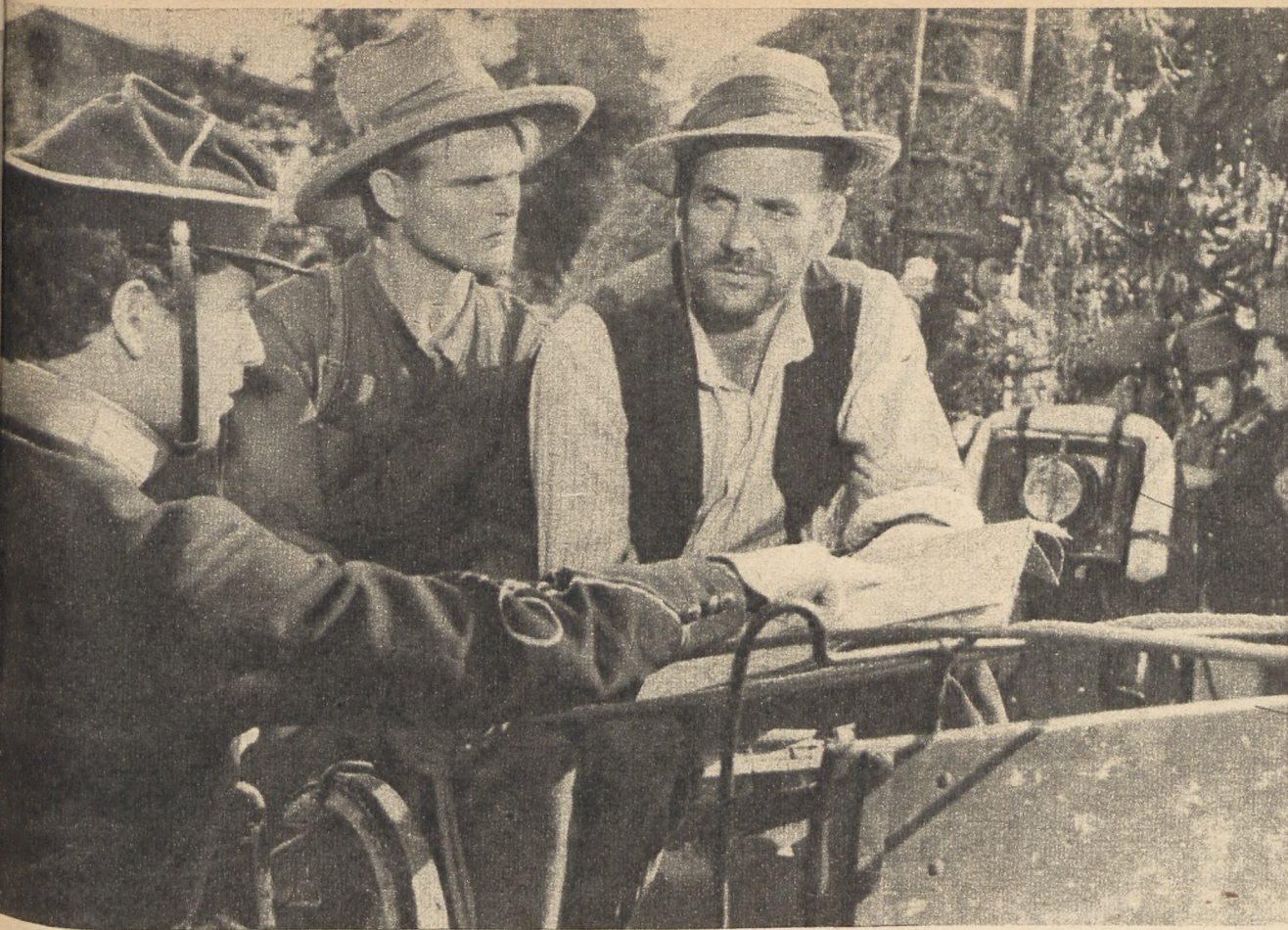
Za 2—3 tygodnie mam zamiar przyjechać do Polski. Tym razem nie na żaden kongres czy zjazd, lecz by zobaczyć Wrocław, Gdańsk, Szczecin, Lublin i inne miasta. Denerwuje mnie, że znam tylko Warszawę. Pragnę poznać ojczyznę moich przodków. Jestem dumny z tego, że jeden z moich pradziadów był Polakiem.

Na zakończenie rozmowy proszę o skreślenie kilku słów do polskich widzów kinowych.

Oto one:

„Zadajcie od Waszej kinematografii jeszcze piękniejszych, jeszcze bardziej prawdziwych filmów. Takie prawo dał Wam Rząd i Wasza Partia — moi polscy bracia i siostry”.

Rozmowę przeprowadził
WŁADYSŁAW STERNIK



„Senso” jest artystycznym protestem przeciwko filmom „historycznym”, gloryfikującym imperialistyczne rozboje

PANI DULSKA W MEDIOLANIE

KIEDY ludzie po wakacjach spotykają się ze sobą, pada stereotypowe pytanie: A gdzie pan był? Jak pan spędził urlop?

Piszący te słowa pytanie to postawił pewnego wrześniowego popołudnia inżynierowi B. Odpowiedź brzmiała: „Urlopu nie miałem. Ale za to byłem służbowo we Włoszech. Ponieważ wiem, że jest pan opętany teatrem, nie będę opowiadał ani o cudach przyrody, ani o cudach architektury, lecz poczęstuję pana rodzynkiem teatralnym”. „Jakiegoż to typu rodzynek?” — pytam. „Prawdziwie sensacyjnego” — pada odpowiedź. — „Moralność pani Dulskiej” po włosku w jednym z najpiękniejszych teatrów w Mediolanie. Byłem, widziałem, postaram się opowiedzieć”.

„Moralność pani Dulskiej” grana jest z ogromnym powodzeniem od szeregu tygodni w pięknym, nowoczesnym, obszernej teatrze Manzoni w Mediolanie, położonym niedaleko La Scala. Mimo tropikalnego upału (druga połowa sierpnia) pięknie, gustownie i z przepychem urządzona widownia, do której prowadzi wspaniały hall, jest przepełniona po brzegi. Od samego początku, kiedy tylko Dulska zjawia się na scenie — aktorka grająca ją, to urodzony komik w spódnicy — widownia raz po raz wybucha śmiechem, okrzykami i oklaskami. Te same reakcje wywołuje każde niemal pojawienie się Hesi, granej jaskrawo, z rozmachem, na cały regulator. Mediolański Zbyszko przypomina do złudzenia naszego Łapickiego, Mela, śliczna subtelna dziewczyna, najlepsza w scenach dramatyczno-lyrycznych. Trochę za gładka, za intelektualna jest Hanka, przybrana w... wyszywaną koszulę ukraińską. Również Tadrachowa nie bardzo robi wrażenie galicyjskiej praczki. Jest to raczej typ hiszpański, starsza jejmość w czarnym szalu i na wysokich obcasach.

Mimo tych drobnych skaz przedstawienie uznać należy za świetne. Przede wszystkim ze względu na porywające, błyskawiczne tempo, które dostownie nie pozwala widowni odetchnąć. Poza tym reżyser wspaniale rozwiązał finał sztuki. Powrót do dnia codziennego po burzy w szklance wody, którą jest chwilowy zryw Zbyszka Dulskiego, został oddany z wymowną melancholią.

Na zakończenie słówko o wnętrzu. Jest to wnętrze drobnonieszczające, ale — czemu się zresztą trudno dziwić — nie bardzo polskie. Trudno sobie wyobrazić, aby zacna rodzinka Dulskich mogła mieszkać w tak stosunkowo miłym mieszkaniu. I trudno wyobrazić sobie, by pani Dulska osobiście trzepała perskie dywany...

Rozmowę przeprowadził JACEK FRUHLING

SĄSIEDZI *Humoreska*

Napisał: J. SJEGEL

Przeł. z rosyjskiego: LEONARD ŻYCKI

Ilustrował: MAREK RUDNICKI

— A więc w ten sposób, panno Leneczko — rzekła Anastazja Iwanowna. — Mąkę rozprowadza się wodą, dodaje się dla smaku cukru, cokolwiek soli, ciut-ciut sody, jedno jajeczko — i na patelnię. Otrzymuje pani naleśniki. Potem może pani w nie zawijać... Co pani chce zawijać?

— Te konfitury...

— Żurawinowe. — Anastazja Iwanowna zmarszczyła się. — Niech pani zaczeka, dam pani z mego zapasu żelaznego wiśniowych.

I usłużna sąsiadka wyszła z kuchni.

— No cóż, Lenek, oczekujemy narzeczonego? — spytał Mikołaj Siemionycz, mąż Anastazji Iwanowny, buchalter z fabryki, w której pracuje Lena.

— Co wy tak wszyscy — narzeczonego, narzeczonego! Żaden z niego narzeczonego. Po prostu po linii społecznej.

— Narzeczonego — z przekonaniem powtórzył Mikołaj Siemionycz. — Skoro naleśniki, to znaczy — narzeczonego. Ty oto, Lenek, posłuchaj mnie: nie żałuj soli. Pamiętam, kiedy jeszcze sam za narzeczonego chodziłem, to mnie ta moja przez cały czas karmiła niedosolonym. Pozwól, że spróbuję ciasta, zaraz ci powiem.

Mikołaj Siemionycz, podniósłszy oczy ku sufitowi,

— Przaśne. Syp śmiało trzy, a nawet cztery łyżki spróbował ciasta. — Jeszcze jedna łyżkę — i norma.

zaczął smakować wargami i wreszcie zawyrokował:

soli. Syp, nie bój się, ja odpowiadam! — Jeszcze raz

— Buchalter wyszedł, zabierając gotujący się czajnik.

— Ma pani, panno Leneczko, wiśniowe — rzekła

wracając Anastazja Iwanowna. — Bez pestek. A swoje

żurawinowe niech pani schowa, karmić można nimi

jedynie męża, ale narzeczonego to może pani tylko

odstraszyć.

— Pani znowuż — narzeczonego — usiłowała zaprote-

stować Leneczka. — Przecież to zwyczajnie po linii

społecznej.

— Dobrze, nie będziemy dyskutować. My teraz z

Iwanem Siemionyczem idziemy do kina. Jakby ktoś

do nas zaszedł, to niech pani powie. Tak! O mało nie

zapomniałam! Zazwyczaj kładę do ciasta całkiem

niedużo tego oto. — Zdjęła z półki blaszane pudełko

od herbaty. — Ale to na amatora. Mikołaju Siemio-

nycz, bo się spóźnimy.

Trzasnęły drzwi wejściowe i Leneczka została sama

w mieszkaniu.

Mieszka zaś w nowym pokoju w nowym domu

fabrycznym przy nowej ulicy. Ulica nawet zwała się

„Nowa”.

Jurek miał tu przyjść po raz pierwszy. I nie dlatego,

by się napić herbaty, lecz by zrobić gazetkę ścienną.

A naleśniki piecze się tylko po to, że przecież trzeba

czymś człowieka poczęstować... Ile sypać tego pro-

szku „na amatora”? Można jedną łyżkę, a można i

trzy... Lena, żeby się nie omylić, wysypała dwie.

Naleśniki udały się nadzwyczaj.



Gdy młoda gospoia doprowadziła pokój do porządku i postawiła swe dzieło na środku stołu, zdecydowała się skosztować jeden naleśnik, który zresztą i tak nie mieścił się na półmisku i tylko psuł harmonię. Ugryzła więc kawałek i zaskoczona aż przysiadła na krześle.

Zrozumiała tylko jedno: naleśniki są niejadalne...

W przedpokoju rozległ się dzwonek. Jurek!

Postawiła półmisek na parapecie okiennym, nakryła go serwetką i pobięła otworzyć drzwi.

Jurek już od progu zaczął mówić o sprawach gazetowych.

— Kowale dziś gazetę wywiesili — coś nadzwyczajnego. Widziałem. Długą, na trzech arkuszach, na całej ścianie. Ale my mamy ścianę dłuższą — zrobimy ją na czterech.

— A starczy nam materiału? — spytała Lena i pomyślała sobie, że do herbaty trzeba będzie w najgorszym razie podać konfitury żurawinowe.

— Musi starczyć. Sam napiszę jeszcze trzy notatki. A jeśli zostanie puste miejsce, to zarysujemy kwiatami. Przecie wiosna.

Cztery arkusze nie zmieściły się na stole i gazetę rozesłano na podłogę. Jurek, klęcząc, malował tytuł.

Dokończenie na str. 19

TEATRO DI VIA MANZONI

ESTATE della PROSA

Organizzazione: ANGELO SILVESTRI

Giovedì 2 Settembre ore 21,15

5° SPETTACOLO

2^a Settimana di repliche

LA PIU' ORIGINALE NOVITA' della STAGIONE

CON

PAOLA BORBONI

NE

La morale della Signora Dulska

Tragicommedia Piccoloborghese in 3 atti

di GABRIELA ZAPOLSKA

(Traduzione di ENZO CINI)

La Signora Dulska	Paola Borboni
Il Signor Dulska	Remo Costa
Zbyszko	Giuseppe Caldani
Hesia	Annabella Ceriani
Mela	Nora Villa
Julia Lewiczowa, nota Dulska	Annamaria Bottini
Ungulina	Edda Brand
Hanka	Anna Lelio
Tadrachowa	Isabella Riva

L'azione ha luogo in Polonia nel 1906

Regia di LUCIO CHIAVARELLI

Allestimento scenico di: Remo Baratti

Gli abiti delle Signore: Borboni - Bottini - Ceriani e Villa - sono confezionati con tessuti "FURTER", su figurini di Lucchi

Costumi della Casa d'Arte FINE di Milano - Contrasti: ARLETO INCROCIA

Arricchimento: CESARE CALVELLI

PREZZI

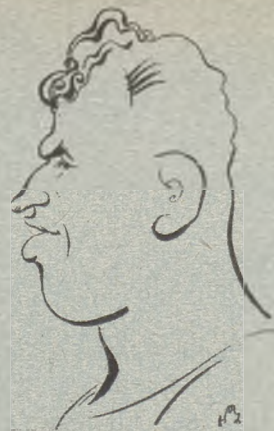
Polich	4.800	Polichere, rango	1.200
Polichere II rango	700	Polichere III rango	1.500
Ingresso	250	Ingresso ridotto	1.150



Andrzej Walczak na meczu Polska—Belgia—NRD rzutem 73,88 wywalczył sobie miejsce w czołówce oszczepników świata i stał się rywalem Sidły



STANKOW



GOŚCIAŃSKI



STIEPANOW

SUKCES BOKSERÓW W SOFII

Bokserzy polscy, jakkolwiek startowali na turnieju drużynowym w Sofii w częściowo odmłodzonym składzie, odnieśli wielki sukces, zajmując pierwsze miejsca przed ZSRR, Bułgarią, Węgrami, CSR i NRD. Zgromadzili oni 10 punktów, nie przegrywając ani jednego spotkania. Między innymi wygrali z reprezentacją ZSRR 14:6. Powyżej karykatury: Gościańskiego, który odniósł niespodziewane zwycięstwo nad Korolewem, oraz doskonałego Stiepanowa — zwycięzcę w wadze koguciej i najlepszego boksera Bułgarii — Stankowa.

OD KAMIENIA DO OSZCZEPU

MA TO wiele wspólnego z radością życia. W każdym razie zjawisko jest powszechne, jeszcze się chyba takie dziecko nie urodziło, które by nie rzucało, czym się da. Nim weźmie się do kamieni, przechodzi zaprawę w rzucaniu smoczkiem, tyżką, grzechotką i wszystkim, co się nawinie pod rękę.

Interesujące jest to, że niektórym z naszych miłośników rzucanie przychodzi specjalnie łatwo. I nie rachujemy już wybitnych szyb skoro to rzucanie przysparza niektórym narodom wiele sławy. Tylko że w tym ostatnim wypadku chodzi o miotanie nie kamieniem, a przedmiotem tak ukształtowanym przez wieki, jak oszczep, którym 20-letni już Janusz Sidło ustanowił rekord, a przed kilkoma tygodniami zdobył tytuł mistrza Europy.

I niechże kto spróbuje wytłumaczyć, jak się to dzieje, że jakieś uzdolnienie sportowe ni z tego, ni z owego lokuje się w ściśle określonym miejscu na kuli ziemskiej? Do tego roku po sukcesy chodził w parze z Sidło — Radziwonowicz, operujący oszczepem w sferze 70 m, a już we wrześniu br. przybył nam Andrzej Walczak, który rzucił 73,88 m, sadowiąc

się na siódmym miejscu na liście najlepszych oszczepników kontynentu. Walczak próbował różnych konkurencji, 100 m przebiegał w 10,9, ale najwięcej ciągnęło go do oszczepu. Potrenował kilka lat i wreszcie przyszły duże wyniki. A jeśli jeszcze tacy, jak Binko, Iwanluk i Kopytko, którzy posługując się stylem „kamieniarskim“ uzyskali w tym roku 65,54, 65,06 i 64,47, spełnią pokładane w nich nadzieje, to ni mniej ni więcej, tylko ochrzczą nas mianem narodu oszczepników.

Stanie się to ku wielkiemu zmartwieniu 3 milionów Finów, którzy to miano godnie dotąd nosili. Ich chwalebne tradycje zaczął po pierwszej wojnie światowej Fin o nazwisku, którego może mu pozazdrościł każdy mitologiczny bohater. Myrra zdobył złoty medal na Olimpiadzie w 1920 r. wynikiem 65,72. Szczyty sławy sportowej osiągnął przedstawiciel lekkoatletycznej rodziny Jaervinenów — Matti Jaervinen. Do roku 1938 wysoki, krótkowzrostowy Matti dzierżył rekord świata (najlepszy wynik w 1936 r. — 77,23), aż zastąpił go młody rodak, Nikkanen (78,70). Nie były to jednostki. Za nim stały całe

rzemie wysokiej klasy oszczepników — chluba Finlandii. Zjawisko masowego „oszczepnictwa“ tłumaczono sobie... kamienistym gruntem Finlandii: żeby uprawiać tam pole, trzeba nawyrzucać kamienie przez cały rok — mówiono.

Widocznie jednak władze sportowe Finlandii uważają, że taka zaprawa to mało i produkują tysiące oszczepów dla dorosłych, młodzieży, dzieci, nieledwie osesków. Sidło, który odwiedził w br. Finlandię, widział w sklepach helsińskich maleńkie oszczepy ważące 200, 300, 500 gramów (zawodniczy waży 800 g), a kiedy poszedł na spacer z przystojną Finką, spostrzegł się, że strzelił głupstwo: nie zabrał oszczepu. W Finlandii bowiem często się zdarza, że szanujący się sportowiec nawet na romantyczny spacer bierze ze sobą oszczep.

Przypomniamy sobie również sympatyczną sylwetkę polskiego oszczepnika Łokajskiego, który w 1936 r. zasłynął w świecie wynikiem 73,27 (na tych samych zawodach jego kolega Turczyk uzyskał 70,27). Łokajski był nauczycielem gimnastyki w Warszawie i znano go z tego, że również nigdy nie rozstawał się z oszczepem. Był taki okres, że Łokajskiego uważano za jedynego specjalistę w świecie, który może zagrozić Finom. Odnowiającą się wciąż kontuzja nie pozwoliła mu zrealizować „groźby“.

Sidło zrobił więcej, gdyż położył kres hegemonii kraju tysiąca jezior, przekraczając, jako jedyny Europejczyk, 80 m. Widocznie nie tylko kamieniste ziemie mogą rodzić oszczepników.

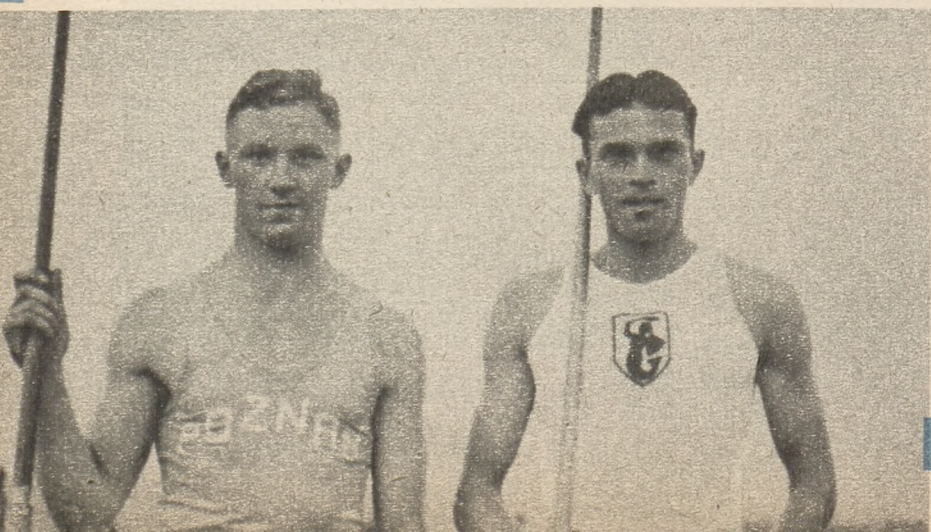
Z tymi kamieniami — to wcale nie żarty. Nie tak nie wyrabia szybkości ręki i nie przysposabia mięśni do pracy oszczepnika, jak ćwiczenie w rzucaniu już od najmłodszych lat. Tylko zamiast kamieni warto włożyć do ręki dzieciom piłki palantowe, a później małe oszczepy. Pod okiem opiekuna wytładują swą energię i zamykają do rzucania, a my w ten sposób uratujemy niejedną szybę i wychowamy następców Sidły.

JERZY SUSZKO



Mistrz Europy Janusz Sidło oczekuje swojej kolejki w czasie meczu Polska — Belgia — NRD w Krakowie

Na wiosnę 1936 roku Eugeniusz Łokajski ustanowił rekord Polski w oszczepie, osiągając 73,23 m, Turczyk jako drugi rzucił 70,53



JONASZ

(3)



NAZAJUTRZ spałem jeszcze twardo, gdy obudził mnie Czesław.

— Popatrz — powiedział — bursztyn? Na dnie dłoni jego widniała mała bryłka o blasku gęstego lipcowego miodu, jak steżałe w żywicy słońce. Czesław potarł o rękaw marynarki i dosunął do strzępku papieru, który lepił się do bryłki jak do kleju. Nie odpowiedział nic, po czym zastanowiwszy się przez długą chwilę, spytał:

— Tak z rana wstałeś? A co cię tak gania? — Byłem u Tarskiego — powiedział rzeczowo Czesław nie patrząc mi w oczy. — Wieczorem pojedziemy na wyprawę. Nocny połów, albo coś jeszcze innego, Tarski nie chciał mi powiedzieć, w każdym razie coś wspaniałego. Tajemnica! Pojedziesz z nami?

— Zobacze. A ty nie pójdziesz na dancing? — Nie — odpowiedział stanowczo. — To może ja się wybiorę. Nie wiem jeszcze. Przez cały dzień nie widziałem Czesława, po prostu znikł, nie wrócił nawet na obiad. Wiem tylko, że poszedł poza Kawczą Górę, a wybierał się na spacer brzegiem morza. Zjawił się dopiero po obiedzie, który dla niego specjalnie zostawiono, o co uprzednio prosił.

— Nie ma pana Czesława? — spytała Ewa, gdy siadłem obok niej. Widziałem, że niezbyt jest zadowolona z mego sąsiedztwa. Byłem jednak w zbyt dobrym humorze, aby zwracać uwagę na takie drobiazgi.

— Nie ma pana Czesława? — spytała ponownie Ewa, nie kryjąc swego zdziwienia. Uśmiechnąłem się.

— Za to jestem ja! — podkreśliłem z zapalem. — Może pójdziemy wieczorem na dancing? — zaproponowałem. — Dawno już nie tańczyłem, więc uczynię to dla pani z ochotą.

Spojrzała na mnie brzydko. Nie wiedziała, czy mówię serio, ale utwierdziłem ją w tym przekonaniu. Wstała więc i odeszła od stołu, zostawiając nietkniętą leguminę. Nie wiedziałem dlaczego.

Nad wieczorem Czesław nakazał: — Ubierz się ciepło. Bo jedziemy na noc. Żebyś potem nie szczekał zębami, ty, Jonasz!

— Nie idę! — odpowiedziałem. — Myślę o dancingu. Ewa mi obiecała — popatrzyłem z ukosa na Czesława. Poczzerwieniał, ale nic nie odrzekł. Pakował rzeczy do teczek, która napęczniała.

— Co tak wiele? — zdziwiłem się. — Nie twoja sprawa — osadził mnie ostrym tonem. — Nie chcesz, to nie idź! Rób co chcesz!

Wyszliśmy jednak razem po kolacji. Ewa stała w przejściu jakby czekając. Lekceważąco przepuściła mnie pierwszego, nie zwracając na mnie uwagi, a zastępując drogę Czesławowi.

— Dokąd? — raczej domyślił się, niż usłyszał.

— Wyjeżdżam — mruknął.

— I nie pożegnałby się pan ze mną?

— W głosie Ewy wyczułem smutek. Przeraziłem się, że Czesław był gotów się zalać w takiej chwili i obiecać jeszcze, że pójdzie na dancing, więc krzyknąłem: — Chodź prędzej, bo się spóźnimy.

Ewa spojrzała na mnie, jakbym był wszystkiemu winien i szepnęła: Jonasz.

Pomaszerowaliśmy w ponurym skupieniu. Nie wdzięczność ludzka wzburzyła mną, Czesław był równie przynębiony, ale sądzę, że z innego niż ja powodu. Może żałował, że nie został. Ewa odprowadziła nas kawalek, udając, że idzie do znajomych, którzy mieszkali w pobliżu naszej trasy. Gdy weszliśmy w boczną drogę, stała jeszcze przez chwilę jakby patrząc za nami, potem odwróciła się i zniknęła nam

z oczu. Czesław parokrotnie odwracał głowę, nie mogliśmy nic do siebie. Droga była obrzeżona białymi smutnymi brzoźami, wciśnięta w łąki. W dali tor kolejowy przecinał pejzaż po przekątnej wznosząc się ku wyżynom i przeskakując wiaduktem betonowym ponad szosą. Domki położone na skraju uzdrowiska białły na tle ciemnych lasów.

Dopiero wybiły nas z milczenia komary. Od dawna krążyły wokół nas chmarami i podejrzanie brzęczenie wpadało nam w uszy jak dźwięk telegraficznych drutów szarpanych wiatrem. Naraz Czesław stęknął boleśnie i pacnął się dłonią w policzek. Suchy odgłos uderzenia odbił się w ciszy jak wystrzał. Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Czyś ty zwariował... — Nagle uczułem ułknięcie w czoło. Nie namyślając się wiele trzasnąłem brzoźem dłoni tak silnie w zadrażnione miejsce, aż Czesław spojrzał na mnie ze zdziwieniem. Nie odstraszyło to jednak komarów, które znały wprawdzie ludzkie gesty nie biorąc ich jednak na serio. Nacierały prawie niewidoczne, natrętne znad kanału odwadniającego, przecinającego



łąki opodal drogi. I wokół głowy ciemniały niczym aureola.

— Przekłete miejsce! — powiedział z pasją Czesław, dusząc na twarzy piątego komara i rozmazując krew. — Powinniśmy iść szosą. Bliżej ludzkich osiedli, tam komarów na pewno mniej. Bo boją się dymu — pouczyłem go z pewną wyższością.

— Takiś mądry — osadził. — Po szkodzie!

Droga wysadzana brzoźami kończyła się, dochodziliśmy do toru kolejowego, który w stronę Międzyzdrojów pisał się łagodnym zakretem w górę. W zmierzchu, pomiędzy koronami rozrostłych kasztanów, czerwieniały budynki małej stacji. Zostawiliśmy ją po prawej ręce, skręcając w kierunku szosy.

— Siyszysz? Morze szumi? — przerwałem milczenie. Czesław zaklął, był w złym humorze. Tym razem komar ugryzł go w pulchną szyję.

— Jakie morze? Tutaj? To pewnie te komary? — powiedział drapiąc się w kark.

— Komary? — nie chciałem w to uwierzyć. — A może to szumi las?

— Widzę, że nie masz nic do dzwigania. Pomógłbyś koledze — Czesław wręczył mi teczkę, która wydawała mi się podejrzanie ciężka. — Zrobię z nimi porządek — gniewał się na komary. — Tarski z pewnością ma amoniak, który je odstraszy. Ostrzegali mnie przed komarami, ale nie wierzyłem, że są aż tak złośliwe.

— Moskity są jeszcze gorsze od komarów. Nie ma nawet porównania — pocieszyłem go.

Spojrzał na mnie ze zem, jakbym go ugryzł w policzek. Po chwili westchnął: — Ale jak ja jutro będę wyglądał?

Zrozumiałem, kogo ma na myśli i spytałem go, czy bierze tę całą historię z Ewą na serio.

— Byłaby na serio, gdybym nie miał pecha. Tyś mi go przyniósł, Jonasz — powiedział mściwie. — Rozbiłeś nasze szczęście głupim wychyleniem głowy z okna. Prosił cię kto? Nie mogłeś później?

Szosa skręcała w lewo, ginąc w lesnym wąwozie, my zaś poszliśmy prosto, pod zielonym dachem grabów i jesionów, obsadzonych przy drodze. Jeszcze na zachodzie tliły resztki blasku słonecznego, krwawe jak żar pod paleniskiem, ale już wokół nas był szary wieczór, ciemniejący, bezgwiezdny. Wody Zalewu skrzyły się szkarłatnym blaskiem, na torze wodnym odbijały się w toni światła.

Tarski czekał na nas przy sklepie, na przystanku autobusowym. Podniósł się z ławeczki, na którą uchyłone okno spółdzielni rzucało światło.

— Wiedziałem, że to wy — powiedział podając nam rękę na przywitanie. — Nikt bowiem nie kłóci się tak głośno tutaj, jak przyjezdni.

— Komary! — szepnął tajemniczo Czesław. — One temu winne.

— Ja palę fajkę. To i komary ode mnie stronią — zaśmiał się Tarski. Czesław przystanął.

— Wiecie co, trzeba by parę butelek piwa. Poszedłbyś? — zwrócił się do mnie. Ale nie dowierając moim zdolnościom kupieckim wybrał się sam, każąc nam czekać na siebie. Dźwigał pod pachami flaszkę, które doładował do teczek niesionej przeze mnie. Płyn bulgotał w butelkach, ocierających się o coś blaszanego. „Czyżby Czesław wziął jakiś ro:delek ze sobą?”

— pomyślałem, zaś głośno oburzyłem się: — Czyś ty kamieni tam nawkładał?

— Będziesz mi za nie jeszcze dziękował.

Nad samą wodą, otoczona niskimi cherlawymi jablo-niami i drewnianym płotem, stała chałupka rybacka.

Za drogą błyszczała suchym piaskiem wyniosła skarpa, gdzieś tam obrosła leśzczyną. Tarski wskazał na ciemny szczyt pokryty małymi sosenkami i nadmienił:

— Tam, na górze była wyrzutnia VZ. Stąd hitlerowcy ostrzeliwali Londyn w 1944 roku. Ale teraz tam już nic nie ma, pozostało jedynie belkowanie jak przy skoczni narciarskiej.

Zaprosił nas do chałupy, wywołując gospodarza, który wprowadził nas do pokoju jadalnego. Ciemny masywny stół z dębiny, krzesła pokryte wytartym pluszem, straszne maki na obrazie i porcelanowa mewa ze złotym dziobem, stojąca w rogu na stoliku, to wszystko miało stwarzać pozory rodzinnego ciepła. Meble były poniemieckie, właściciel domku spod Lublina. Czesław odebrał z moich rąk teczkę i wyjmował kolejno butelki z piwem, puszki z konserwami, pęto suchej kiełbasy, parę ogórków i chleb. Żądał od nas wyrazów zachwytu, których naturalnie nie poskapiliśmy mu. Pod ścianą nieśmiało stał Jasio, nasz przyszły towarzysz podróży, siedemnastoletni wyrostek.

— I co, młody człowieku? — spytał Czesław, otwierając puszkę z pasztetem rybnym i smarując nim grubo kromkę chleba. — Pojedziemy razem? A znasz się coś na rybach?

— Pewnie! — Jasio nie miał co do tego wątpliwości.

— A i ten pan też zna się na rybach! — powiedział Czesław wskazując na mnie nożem trzymanym w ręku. Zanim zdołałem coś powiedzieć na wytłumaczenie się, dodał:

— Odróżnia szprotki od byczków! Ale jak są bez głowy i siedzą już w puszkach. Po oliwie poznaje szprotki, po sosie pomidorowym — byczki!

Pierwszą kromkę wręczył Tarskiemu, następnie rozdzielał między nas przygotowane kawałki chleba. Ostro pikantny smak pasztetu przypadł nam wszystkim do gustu.

— Do tego teraz jasne piwo! — zawyrokował. Jasio skoczył po szklanki. Siedzieliśmy długo przy posiłku i rozmawialiśmy. Przyszedł i gospodarz. Jasio opowiadał o polowach, jakie przedsięwziął wraz z ojcem, i dodał, że jego praca już się kończy, bo od jesieni idzie do szkoły rybackiej w Szczecinie. Tarski opowiadał anegdoty o życiu rybaków.

— A pan, panie Tarski, zna się na rybach? — spytałem z lekką uszczypliwie. — Bo Czesław twierdzi, że pan to mechanik.

— Z zawodu to on gracz w „oczko” — powiedział Czesław.

— Jakos da się pogodzić to wszystko razem — roześmiał się pogodnie Tarski. — „Oczko” przecież gra hazardowa, a rybactwo też! Jedziesz na połów, a drżysz z oczekiwania, czy ryba przyjdzie, czy nie. A zabawa, mówię ja wam, lepsza niż w kartach. Wyczekuje się godzinami i nic, a jak podejdzie chmara ryb, to nie wiadomo za co się brać.

— Do ryby szczęście mieć trzeba — wtrącił Jasio.

— Szczęście ci nie pomoże, gdy w głowie pusto. Znać nie trzeba, a wtedy i szczęście się znajdzie — odezwał się Tarski. — Ty zaś tylko szczęście masz!

— Ech, panie Tarski — obruszył się chłopak.

Ale rybak, nie zwracając uwagi na odpowiedź chłopca, ciągnął dalej. — Tu, u nas, niejednen zamiast zająć się porządnym rybactwem, częstokroć marzy o nadzwyczajnościach. O skarbach jakichś. Choć nasze morze to największy skarb — Tarski położył oba łokcie na stole i ujął dłońmi za skronie, pochylając się nad blatem. Czesław dolał mu piwa. — Gdy już Armia Radziecka i nasze wojska podeszły pod Szczecin w 1945 r. i zaczęły ostrzeliwać miasto, strach padł na bankierów i armatorów niemieckich. Przekupili więc załogę jednego ze statków przeznaczonych do ewakuacji ludności, przekupili konwój złożony z SS-manów i nocą odpłynęli z portu. Nie była to droga łatwa, sterczały na dnie wraki, a Odrą parł lód. Gdy wypłynęli na Zalew, wydawało im się, że najgorsze minęło. Statek posuwał się wąskim kanałem, dziobem ocierał o kry. Podróżnych było niewiele, siedzieli na śródkręciu na swoich walizkach. Tymczasem SS-mani pchałomili się na te walizki, gdyż podobno każdy tam wioził złoto, klejnoty i papiery wartościowe. Statek zatrzymali, spuszczone łódź ratunkową i SS-mani wszystkich pasażerów spędzili do niej, nakazując załodze ruszyć pełną parą na przód. O świcie statek wyszedł na pełne morze pozostawiając za sobą Świnoujście. Nadleciały radzieckie samoloty wojskowe, i statek, uciekając przed nimi, wpadł na mieliznę i zatonął wraz z załogą.

— I co, wydobyto te skarby? — spytał niespokojnie.

— A wydobyto — powiedział z pogardą Tarski. Naładował fajkę tytoniem, zaciągnął się i powiedział: — Mój brat był nawet przy tym. Nurkowie wydobyli szereg walizek, złożono je na statku. Otwierają jedną, owszem, „skarby” jest — akcje. Otwierają drugą — akcje! Już nikt nie patrzył, co znajduje się w trzeciej walizce...

— Są tu i inne skarby — sprzeciwił się Czesław. — Choćby takie statki, które wydobywa się z dna i remontuje. Albo oddaje na złom. Ja byłem w Szczecinie przez pół roku, widziałem więc wydobywanie wraków. A wysłacie, Tarski, jak długo mieszkali w Szczecinie?

— Prawie dwa lata. Do czterdziestego siódmego.

— Dziwne, żeśmy się nie spotkali — oświadczył z powagą Czesław. — Bo i ja też tam byłem. Hutę uruchomiałem. Mieszkaliśmy na Glinkach, ale na miasto rzadko wychodziłem. Uruchomić wielki piec to sprawa niełatwa. To huta duża, ale stara i nie miała ani stalowni, ani walcowni.

— Opląciło się im tutaj nad morzem budować hutę?

— A żebyś wiedział, że tak. Rudę sprowadzano z Hiszpanii, Skandynawii i Algeru, a węgiel szedł Odrą ze Śląska. Robotnik był tani, zaś zapotrzebowanie na żelazo duże. Szczecin miał przed wojną wielkie stocznie: „Vulkan”, która budowała duże statki dalekomorskie, oraz stocznice Kriegsmarine. W niej powstały łodzie podwodne. Poza tym było jeszcze parę innych, mniejszych, istniała także fabryka konstrukcji żelaznych „Gollow”. A wszystkie te zakłady potrzebowały jednego — żelaza. Kiedy objęliśmy po wojnie te przedsiębiorstwa, były one niemal zniszczone kompletnie. Po „Vulkanie” pozostały tylko budynki administracji, pochylnia i pływający dok. I jakoś też daliśmy sobie z tym radę, chociaż u nas wielu fachowców nie było. Nie zapominaj bowiem — zwrócił się do mnie — że nasze państwo nie miało przed wojną przemysłu okrętowego.

Popatrzył na nas i pokiwał głową. — Kiedy z końcem 1948 r. przyjechałem do huty, byłem niesłychanie przygnębiony. Nic, tylko cmentarzysko powykrzywianych konstrukcji, wielkie piece uszkodzone, jeden, zbudowany jeszcze w 1895 r., przestarzały, drugi, budowany przed wojną — nie ukończony. Aleśmy i tak dali radę. W maju, kiedy na ulicach i w parkach Szczecina kwitną drzewa magnoliowe, zapłonął wielki piec huty „Szczecin”. Popłynęła pierwsza struga surówki. Zakład przywróciliśmy życiu.

— Tak, zastaliśmy tu pustynię — westchnął Tarski. — Wiele pracy kosztowały te ziemie.

— No, spać już idziemy, a ty Jasio obudź nas tylko o czasie — dodał i zaprowadził nas na stryszek pachnący siano i smołą. To suszyły się sieci.

Spałem smacznie, kiedy Czesław targnął mną, szepcząc:

— Wstawaj, jedziemy już. Myślałem, że dopiero co ułożyłem się do snu, tymczasem było już dawno po północy. Poganiany przez wszystkich wyszedłem na dwór. Księżyc owinięty mgłą ledwie przeświecał zza chmur, chłód nocy przenikał nasze ciała. Wstrząsnąłem się i spytałem, dokąd jedziemy. „Po skarby” — powiedział półgłosem Tarski. Weszliśmy z Czesławem do łodzi i usiedliśmy na przodzie, biorąc się za wiosła. Tarski z Jasiem zepchnęli łódź i wskoczyli, kiedy łódź miękko osiadła na wodzie. — Raaz! Raaz! — syknął Czesław odchylając się do tyłu. Nie uchwyciłem tempa i dostałem łokciem w bok. Pełen gorliwości szarpnąłem parokrotnie ciężkim wiosłem, ale ześliznęło się po powierzchni muskając toń. Ofiarą mojej gorliwości padł Czesław, otrzymał mawczy parę szturchnięć wiosłem, i widziałem, że się hamuje, aby mi nie oddać. Dopiero obserwując dokładnie jego ruchy, uchwyciłem rytm i płynęliśmy już spokojnie, choć nierównomiernie. Gdyby nie Tarski, łódź płynęłaby zygżakiem, ale jego wprawna dłoń kierowała ster w należyłą stronę. Szumiały w cichym wietrze trzci-

Dokończenie na str. 23

SWIAT

o tym wie!

W HITLEROWSKIEJ GALI

Ex-feldmarszałek „Luftwaffe”, Albert Kesselring, w państwie Adenauera rozwija coraz to bardziej ożywioną działalność po-

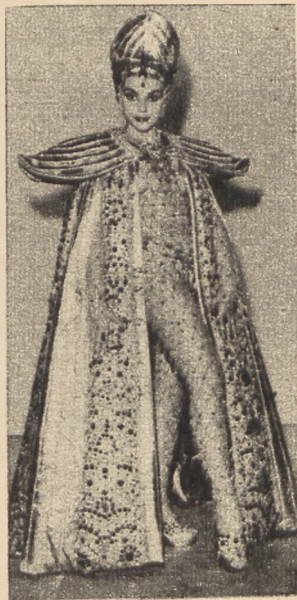


lityczną i militarystyczną. Jako jeden z przywódców organizacji „Stahlhelm”, zwołuje on często wiece i zloty byłych pretorian Hitlera. Wiek taki odbył się niedawno (w dniu 29 sierpnia, w przededniu 15 rocznicy wybuchu wojny) w miejscowości Recklinghausen w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemiec. Kesselring przemawiał z trybuny udrapowanej faszystowskimi sztandarami. Audytorium jego zaś wystąpiło w pełnej gali: w mundurach i przy hitlerowskich orderach ze swastykami.

Calej tej manifestacji patronowała cicha zgoda władz brytyjskich, które przecież szukają nowych form usankcjonowania tych hec o niedwuznacznym militarnym posmaku.



NIE WSZYSTKO ZŁOTO, CO SIĘ ŚWIECI



Stare przysłowie mówi jednak, iż nie wszystko złoto, co się świeci. Okazało się ono słuszne i w tym wypadku. Pomimo bowiem wielu podobnie bzdurnych „inwestycji” — Hollywood traci jeden rynek za drugim.

„BOHATER” W CYWILU

Pułkownik Robert H. Orr służył w lotnictwie amerykańskich sił interwencyjnych w Korei. Wyróżnił się w bombardowaniu koreańskich miast i wsi i okrzyczany został przez prasę amerykańską bohaterem.

NEW YORK
Herald Tribune
European Edition
PUBLISHED DAILY, SEPT. 16, 1950

U.S. Colonel to Face Trial As Alleged Nevada Burglar

WASHINGTON, Sept. 16.—The Air Force yesterday placed court-martial charges against Col. Robert H. Orr, veteran of World War II, who was arrested in Las Vegas, Nev., in July after a series of alleged burglaries.

W dniu 17 września br. dziennik „New York Herald Tribune” doniósł, że w Las Vegas (stan Nevada) aresztowano złodzieja hotelowego, pułkownika Roberta H. Orra.

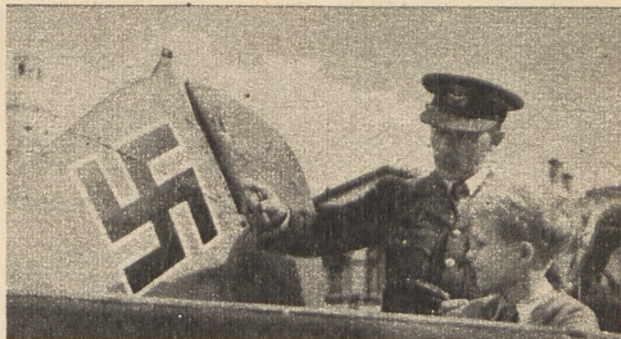
Siedzi on obecnie pod kluczem i czeka na proces. Uważany jest dziś za przestępcę. My byliśmy tego zdania znacznie wcześniej.

KU PRZESTRODZE

W czternastą rocznicę „Bitwy o Wielką Brytanię” („Battle of Britain”) otwarto w Londynie wystawę. Znalazły się na niej zestrzelone w czasie tej bitwy samoloty hitlerowskie, które siały śmierć i zniszczenie w Londynie, Cove-

ntry i innych miastach Anglii.

Wydaje się, że warto byłoby zorganizować wystawę rządu brytyjskiego na tę wystawę. Powinien ją zwłaszcza obejrzeć pewien podróżujący często minister angielski.



„LOKATOR” W DOMU G.B.S.

American Gets Home Of Shaw

By the Associated Press
LONDON, Sept. 15.—An unidentified American from New Jer-

Mr. Shaw died in 1950. His will left Shaw's Corner to the National Trust, which owns dozens of pieces of interesting British real estate, but failed to provide any endowment for its upkeep.

Friends of Mr. Shaw launched an appeal for a £250,000 (\$700,000) memorial fund to maintain the house as a museum. Only £400 (\$1,120) was collected in 11 months.

The National Trust tried for three years to maintain Shaw's Corner on dwindling receipts from admission charges to tourists, then decided to offer it for rent

W roku 1950 zmarł George Bernard Shaw. Dom swój w Anglii, tak zwany Shaws Corner, zapisał przed śmiercią narodowi.

W społeczeństwie angielskim powstał projekt urządzenia w tym domu muzeum, poświęconego pamięci Shaw'a. Przyjaciele zmarłego postanowili zebrać drogą ogólnonarodowych składek odpowiednią sumę. W ciągu jedenastu miesięcy zebrano jednak zaledwie 400 funtów, i to od najbiedniejszych. Projekt tym samym upadł.

Ostatnio prasa amerykańska podała, iż dom Shaw'a wynajął pewien „nieznany Amerykanin” z New Jersey.

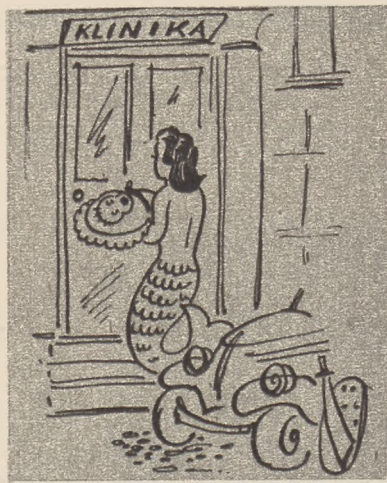
Być może ten sam, który przed kilkoma miesiącami zburzył w USA pamiątkowy domek Marka Twaina, by postawić tam czynszową kamienicę...



Była noc z siódmego na ósmy wrześnie. Samochód redakcyjny „Świata” wracał po ostatnim kursie do garażu. Kierowcy nawet na myśl wpaść nie mogło, że będzie to noc, po której przyjdzie mu odbyć długą rozmowę z... Syrenką. Przed bramą domu nr 31 przy ulicy Długosza jakiś mężczyzna podtrzymywał sianlającą się na nogach niewiastę.
— Proszę pana, żona chora, błagam, niech pan nas odwiezie do szpitala!
Dalsze wyjaśnienia były zbyteczne. Kierowca wiedział, że najbliższy szpital położniczy znajduje się na Dworskiej. Dał gaz.
Portier w żaden sposób nie chciał zrozumieć, że młodym obywatelem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej śpieszno jest na piękny świat, wobec czego kierowca sam chwycił za nosze. Razem z przyszłym ojcem zaniesli chorą do izby przyjęć. Położna, po zbadaniu, oświadczyła, że „Duch” dziś nie przyjmuje, że zresztą dość jest jeszcze czasu, by rodzicą odwieźć do pobliskiego szpitala na Plockiej.
W rzeczywistości czasu nie było. Młoda Walczakówna energicznie wkraczała w życie, sprawiając matce piekielny ból. Kierowca nie miał jednak żalu o te niezwykle w wozie redakcyjnym hałasy.

Sam jest przecież matką, przepraszam, ojcem. Pedził więc co motor wyskoczy.
— Portier na Plockiej nie chciał się ruszyć z miejsca — opowiadał potem Syrence. — Powiedział, że go to nic nie obchodzi, bo oni dziś nie przyjmują. Pobiegłem sam po nosze i po akuszerkę. Przyszła i usiadła na krzeselku. Nie przyjmują, oddział zamknięty i koniec. „Ależ ona rodzi!” — zawołałem. Wyszła ze mną na schody, ale z połowy drogi zawróciła. „Nie przyjmę dziecka z ulicy!” — powiedziała. Nadbiegł mąż. „Dziecko się urodziło!” — wołał. Dopiero wtedy akuszerka pobiegła po lekarza dyżurnego.
Tymczasem, zbudzeni krzykami, potwórali okna mieszkańcy przeciwległych domów. Kilka kobiet wybiegło na ulicę, by przyjść chorej z pomocą. Przez jakieś dziesięć minut nowonarodzone dziecko leżało w otwartym samochodzie. Nadjechała taksówka. Okazało się, że szczęście, że przyjechała nią siostra przełożona. Natychmiast zorganizowała pomoc i wszystko skończyło się pomyślnie.
Czynnikom kompetentnym pozostało wyciągnięcie wniosków z powyższego zdarzenia. Jest ich tym więcej, że podobne wędrowki od szpitala do szpitala w poszukiwaniu azylu dla mającego przyjść na świat człowieczka, zdarzają się wcale nierzadko. Ze swej strony pragnę dodać tylko jedno. Aczkolwiek „Świat” może się poszczycić wieloma śmiałyymi rozwiązaniami, tego rodzaju rozwiązania nie były zaplanowane w pracy

naszych wozów redakcyjnych. Bez zażośći rzekamy się ich (rozwiązań, nie samochodów, oczywiście) na rzecz klinik położniczych, którym pragniemy przypomnieć, że źle jest, gdy rutyna i służbiście ściepa wrażliwość na ludzkie cierpienie.



Od i do Czytelników

Otrzymaliśmy ostatnio wiele listów od Czytelników, w których stawiane są — i słusznie — zarzuty pod adresem prasy, że w niedostateczny sposób informuje o nowościach wydawniczych. Czytelnicy zwracają ponadto uwagę, że pragną dowiedzieć się nie tylko o treści i wartości danej książki, ale przeczytać recenzję w tym czasie, kiedy książka jest jeszcze w sprzedaży. Ob. Stanisław Rubach z Pabianic tak formułuje uwagi na ten temat:

„Od czasu do czasu ukazują się na wystawach księgarń nowe wydawnictwa. Są to wznawienia mniej lub więcej znanych powieści, tłumaczenia pisarzy obcych oraz rzeczy całkiem nowe, wydawane po raz pierwszy.

Część z tych wydawnictw uchodzi naszej uwadze — gdyż nie co dzień ma się czas na dokonywanie „przeglądu” nowości na wystawach. Co prawda prasa codzienna i tygodniki zamieszczają co pewien czas zestawienia książek nowo wydanych, a tygodniki, jak „Świat” lub „Przekrój” nawet krótkie recenzje, jednakże w większości wypadków czynione jest to z opóźnieniem, niejednokrotnie nawet już po wyczerpaniu nakładu danej książki. I wtedy daremnie odbywa się wędrowkę od księgarń do księgarń w poszukiwaniu „nowości”.

Brak aktualnych zestawień, brak recenzji nowo wydanych książek powoduje w konsekwencji, że kiedy chce się kupić książkę — staje się wobec zagadnienia. Bo nawet jeżeli widzi się na wystawie nowość — to sam tytuł ani okładka nic nie mówią. Trzeba wtedy kupować na „wyczucie” albo stojąc przy ladzie gorączkowo przewracać kartki, aby zorientować się w treści, albo zaudzać sprzedawcę pytaniami w rodzaju: „o czym to jest”, „co mi pan radzi”, „a może ma pan coś jeszcze” — i absorbować go całkowicie swoją osobą.

I niejednokrotnie wychodzi się z księgarni nie kupiwszy — niepotrzebnie marnując czas swój i sprzedawcy.

Wydać mi się, że w pewnym stopniu sprawa byłaby rozwiązana, gdyby instytucje wydawnicze informowały każdorazowo, choćby telefonicznie, redakcje poczytniejszych dzienników o wydaniu (ukazaniu się nowości) — jeszcze przed rozpoczęciem sprzedaży. Wspomniane na wstępie tygodniki mogłyby zamieszczać na bieżąco krótkie recenzje, choćby bardziej czołowych pozycji.

Ułatwiłoby to w znacznym stopniu żmudne dokonywanie wyboru i kupujący prosiliby w księgarni już z góry o upatrzoną książkę — nie tracąc czasu na wybieranie.

Chciałbym ponadto zwrócić uwagę, iż istniały w swoim czasie wydawnictwa, których książki wydawane w kartonowej okładce, miały brzegi tych okładek podgięte do wewnątrz i na tych właśnie zagiętych częściach okładek znajdowały się krótkie streszczenia książek.

Przypuszczam, że instytucje wydawnicze mogłyby się zastanowić poważnie nad wznowieniem tego rodzaju oprawy (okładek) w nowych wydawnictwach, tym bardziej, że duża część książek wydawana jest w okładkach kartonowych. I na pewno tego rodzaju usprawnienie — choć nie nowe już zresztą — przyjęte zostałoby z uznaniem przez wszystkich czytelników. I na pewno nie podrożyłoby to kosztów wydania.”

Niewątpliwie Czytelnik nasz ma wiele racji. Zarówno „ŚWIAT” jak i wiele gazet codziennych i czasopism nie dość systematycznie i nie zawsze na czas zamieszczają recenzje czy nawet krótkie informacje o książkach. W tej dziedzinie jest jeszcze wiele do zrobienia. Jeśli idzie o zagadnienie informacji o książkach w zakresie prac samych wydawnictw, pragnęlibyśmy otrzymać w tej sprawie obszerniejsze wyjaśnienia od zainteresowanych instytucji.

„ŚWIAT”

PRZYZYNEK DO CHARAKTERYZACJI

„Ze zdumieniem ujrzałem obok wspomnień o pierwszym występie Karola Adwentowicza, moim i Czesława Woźniaka — pisze do redakcji Jan Kreczmar — fotografię mistrza Adwentowicza z moją twarzą. Nie chciałem naszemu wielkiemu Koledze przypisywać swojej nieudolnej maski Łukasiewskiego z pierwszego pobytu na scenie. Fotografia ta miała zilustrować moje wspomnienia o trudach charakterystyki młodzieńca na starca i w tym sensie była uzupełnieniem artykułu.”

Za tę nieoczekiwana „charakterystykę” na łamach naszego tygodnika przepraszamy Czytelników oraz obu naszych świetnych artystów.

„ŚWIAT”

NOWE KSIĄZKI

Lucjan Wolanowski — **ŚLADAMI BRUDNEJ SPRAWY** — Książka i Wiedza 1954.

„Brudna sprawa” — to historia oderwania Słowacji od Republiki Czechosłowackiej. A jej ślady — o których pisze autor — prowadziły na południe — ku Watykanowi i na północ — do Polski. Praca Wolanowskiego jest starannie udokumentowana, z jej kart wylania się w całej swej jaskrawości postać Becka i haniebna jego rola w sprzysiężeniu przeciwko Czechosłowacji.

Wolanowski dał doskonałe sylwetki przywódców marionetkowego państwa słowackiego — zdrajców własnego narodu, agentów hitlerowskich; scharakteryzował też wszechstronnie rolę, jaką w tej „brudnej sprawie” odegrał Watykan sprzyjający hitlerowskiemu zapędowi.

Czytelnika polskiego najbardziej w książce Wolanowskiego zainteresują szczegóły zbrodniczej gry, jaką bezustannie prowadzili sanacyjni dygnitarze. Brali oni wcale poważny udział w intrydze, która w efekcie dała Hitlerowi znakomitą bazę strategiczną właśnie przeciwko Polsce...

Arnold Zweig — **MŁODA KOBIETA Z ROKU 1914** — Czytelnik 1954. Jest to jeden z tomów cyklu powieściowe-

go „Wielka wojna białych ludzi” — o pierwszej wojnie światowej. Wydana obecnie powieść powstała w roku 1931 — nie straciła jednak nic ze swej aktualności, stanowi bowiem wymowny dokument oskarżający siły dążące do wojny, te same siły, których odrzadzanie się obserwujemy dziś w Niemczech zachodnich.

Henryk Sienkiewicz — **NOWELE** — ilustr. A. Uniechowskiego — PIW, 1954. Jest to drugi z dwunastu tomów, jakie obejmie ilustrowany wybór pism Sienkiewicza. Czytelnik znajdzie w tym tomie najcenniejsze nowele z różnych okresów twórczości pisarza, a więc niektóre „nowele amerykańskie”, „Starego sługę”, „Hanie”, utwory stanowiące protest przeciwko germanizacji polskiego, oraz m. in. — długą, pełną humoru i ostrej satyry nowelę „Ta trzecia”.

Doskonałe ilustracje Uniechowskiego. Całość wydana z dużą starannością.

Irena Merz — **O FILMIE NIEMIECKIM** — FAW, 1954. Wydana przez Filmową Agencję Wydawniczą źródłowa praca Merzowej zapoznaje czytelnika z historią i osiągnięciami postępowej twórczości filmowej Niemiec. Książka bogato ilustrowana zdjęciami z licznych filmów niemieckich zaciekał niewątpliwie nie tylko filmowców, ale i najszersze rzesze widzów kinowych.

NOWE KSIĄZKI KLASYKÓW ANGIELSKICH

Czytelnik wydał ostatnio 2-tomową powieść Dickensa pt. „Dombey i syn” — w nowym, starannym przekładzie Z. Soroczyńskiej i R. Adamskiego; nakładem PIW-u ukazało się dzieło znanego pisarza angielskiego ub. wieku Tomasza Hardy — TESA d'URBERVILLE, w przekładzie R. Czekalskiej — Hey-

manowej. Książka stanowi obraz współczesnych autorów stosunków społecznych — pokazanych na tle losów biednej wiejskiej dziewczyny, oszukanej, zagubionej w trybach kapitalistycznego społeczeństwa. Również nakładem PIW-u ukaże się na półkach księgarskich w najbliższym czasie powieść innego klasika literatury angielskiej — W. Godwina pt. CALEB WILLIAMS.

ZIEMOWIT KUNIŃSKI

NIEDŹWIEDŹ GBUR

„Niedźwiedź gbur!”
Tak dziś mówi cały Bór.
Lecz kto by dawniej poznał Niedźwiedzia,
Nigdy by tak o nim wtedy nie powiedział.
Niedźwiedź był zupełnie inny:
Koleżeńki, uczynny,
Uprzejmy dla kobiet...
Jednym słowem — nie ten człowiek.
To jest — nie ten zwierzę.

Choć posiadał wtedy inne cechy też:
Właściwie — jedną wadę:
Przesadę.

Niedźwiedź siedział nisko.
Niedźwiedzia funkcja — żadne stanowisko.
Ale gdy zaczęto zwalczać kacykostwo,
Zabrał się do siebie ostro:
Gdy miał interesanta, na przykład Wiewiórkę,
Na swoim fotelu sadzał ją za biurkiem.
A sam stał. Miało to znaczyć,
Że Niedźwiedź nie kacyk.

A gdy zaczęto pisać o sadowej wodzie
(Taka akcja wtedy była właśnie w nodzie)
W lustrze się przeglądał na wszystkich strony,
I zamiast Niedźwiedzi — wciąż widział syfony.
A że dla pewności nie pił żadnych wód,
Tylko miód,
Skutek był znany:
Niedźwiedź do biura przychodził zalany.

A gdy kazano z terenem więz nawiązać ścisłą,
Niedźwiedź, nie wiele myśląc
Wyjechał.
I przepadł bez echa.
W biurze rosły zaległości...
A Niedźwiedź w terenie gościł.
Nie poszło sprawozdanie,
Coś się zaważyło w planie,
Innych szkód wynikło wiele...
Niedźwiedź wciąż objeżdżał teren.
Wreszcie wrócił.

Ujrzawszy biurowych spraw pobożowisko,
Rzekł: „To nic. Za to z terenem jestem teraz blisko”.

Kiedyś się zajęto jakąś nową akcją:
Walką z biurokracją.
Niedźwiedź przejął się nią szczerze:
„Od dziś nic już na papierze!
Załatwiać będę
Tylko na gębę,
Lub
Na dziób”.
Przyjómów zwierzęta,
Załatwiał. Ale... nie pamiętał.
Ani nazwisk, ani dat.
Łatwo zatem zgadnąć — wpadł.
Dostał nagane. Bardzo się zdziwił: „Za co mogli dać ją?
Przecież walczyłem właśnie z biurokracją”.

Na publicznym zebraniu
Ktoś Lisa za służalczość zganił.
Niedźwiedź się przeraził: „Uważać muszę,
Żeby mnie nie nazwano, jak Lisa, lizusem.
Ooo, bo szkodzi taka wada!
A może ją sam posładam?”
I jak wychodził z zebrania,
Już nikomu się nie kłaniał.
Poszedł do naczelników Lwów,
Nawymyślał im od kópów,
Gdy zobaczył Łosie,
Powiedział: „Mam was w nosie”,
Gdy Jeleni nogę złamał i pomocy wzywał,
Mruknął: „Niech sam wstaje. Nie będę się podlizywał”.
Gdy się z kim witał — podawał dwa pazury
I patrzył na niego z góry.
Żubrowi, w przejściu, podstawił nogę:
„Niech wie, że jestem służalczości wrogiem”.

„Niedźwiedź gbur, Niedźwiedź gbur!”
Zaczął krzyczeć cały Bór.

A Niedźwiedź zadowolony chodzi już po Borze:
„No, o służalczość nikt mnie posądzić nie może”.

ANECDOTY

Mark Twain rozmawiał pewnego razu przy stole z damą słynącą ze złośliwości. Chcąc być dla niej miłym, powiedział:
— O pani — Jakże jesteś piękna!
Na co dama odrzekła:
— Bardzo mi przykro, że nie mogę powiedzieć tego o panu.

Twain roześmiał się.
— Niechże pani robi to, co ja. Niech pani kłamie.

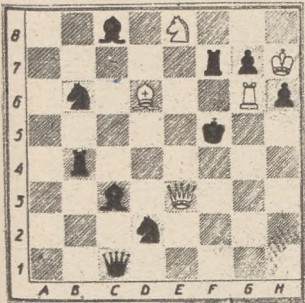
Gainsborough, znany malarz angielski, rzekł raz do pewnej damy, która prosiła, by na portrecie namalował jej twarz nieco mniejszą.
— Jeżeli wasza wysokość rozkaże, malując, mogę twarz zupełnie pominąć.

LENGREN



SZACHY

ZADANIE POZAKONKURSOWE



A. Gulajew

Mat w 2 posunięciach

PARTIA Nr 125

grana podczas tegorocznych mistrzostw Moskwy. Obrona sycylijska. Białe: Sołowiew. Czarne: Antoszin

1. e2-e4 c7-c5 2. Sg1-f3 d7-d6 3. d2-d4 c5:d4 4. Sf3:d4 Sg8-f6 5. Sb1-c3 a7-a6 6. Gc1-g5
Jest to najmłodniejsza dziś broń przeciwko wariantom z 5... a6.
6... e7-e6 7. Hd1-f3 Gf8-e7 8. 0-0-0 Hd8-a5
W partii Niezmiędninow — Paoli (Bukareszt 1954) było grane 8... Hc7 9. Wg1 Gd7 10. g4! z dobrą grą białych.
9. h2-h4 0-0 10. Sd4-b3 Ha5-c7 11. Hf3-g3 Sf8-h5?
Należało grać 11... Se8. Teraz białe osiagają przewagę.
12. Hg3-h2 Wf8-d8 13. Gg5: e7 Hc7:e7 14. g2-g4 Sh5-f6 15. g4-g5 Sf6-e8 16. f2-f4 b7-b5 17. f4-f5 Sb8-c6
Zie było 17... e:f5 z powodu 18. Sd5.
18. Wh1-g1 Sc6-e5 19. Sb3-d4 Gc8-b7 20. Gf1-h3 Se8-c7 21. f5-f6 He7-f8 22. h4-h5 b5-b4 23. g5-g6! g7:f6

Jedyna odpowiedź! Przegrywało zarówno 23... f:g6 24. S:e6 S:e6 25. G:e6+ Kh8 26. h:g6 jak i 23... b:c3 24. g:h7+ K:h7 25. W:g7+ Kh8 26. Hf4. 24. Sc3-d5
Należało grać 24. g:f7+ K:f7 25. Sd5. Posunięcie w tekście stwarza czarnym możliwości obronne.
24... e6:d5
Czarne nie wykorzystują szansy remisu: 24... Hh6+ 25. Hf4 H:f4+ 26. S:f4 h:g6 27. h:g6. Popełnione w ostatnich posunięciach błędy należy niewątpliwie tłumaczyć obustronnym niedoczasem.
25. g6-g7 Hf8-c8 26. Sd4-f5 Se5-g6 27. h5:g6 f7:g6 28. Sf5:d6 He8-c8 29. Wg1-h1 Kg8-g7 30. Sd6:b7 Hc6:b7 31. e4:d5 Sc7-e8 32. Gh3-c8! Hb7:c8 33. Hh2:h7+ Kg7-f8 34. We1-d1 Se8-g7 35. Hh7:g8 Kf8-g8 36. We1-e7 i czarne poddały się.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Rozwiązanie zadania z nr 157

Magiczny kwadrat: kabak, araka, bazar, akant, karta — Krzna.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 157 nagrody książkowe otrzymują:

E. Józwik — Białaczów, pow. Opoczno, W. Janicki — Dęba, pow. Tarnobrzeg, B. Rzezyński — Gorzów, H. Jackowska — Jelenia Góra, T. Pietrkiewicz — Kowal, pow. Włocławek, M. Gdulewicz — Lublin, S. Guzel — Łódź, T. Binek — Nowa Huta, Z. Kłosińska — Płock, W. Teleżyński — Poznań, B. Baślak, S. Staniecki — Radom, J. Olszewski — Sławoszew, pow. Łęczyca, B. Lasocki, T. Łęska, D. Plichtowa — Warszawa, J. Milewski — Wesoła, J. Kurdelski — Włochy, J.

SPROSTOWANIE

W poprzednim odcinku reportażu M. Brandysa podano niewłaściwe daty, zamykające okres rozwoju protestantyzmu i życia umysłowego w Pińczowie (1661-63). — Winno być 1551-63.

W ostatnim akapicie zdanie zaczynające się od słów: „Dom Ariński wprost prosi się...” brzmieć powinno: „Dom Ariński wprost prosi się o urządzenie w nim muzeum informującego turystów o historii Pińczowa i w ogóle o sprawach Reformacji w Polsce”.

Kolaczowski — Zakopane, E. Bożyczko — jedn. wojsk.

Rozwiązanie zadania z nr 158

KRZYŻÓWKA. Poziomo: przetak, metamorfoza, intendent, tanina, Orneta, pawlik, grot, ulep, rarogi, czekam, Baku, emir, aktywny, ostrza, składy, Argonauta, trywialność, Merkury (bóg rzymski, a nie grecki, jak mylnie podano).

Pionowo: szum, Star, patyna, krosno, osnowa, konstruktor, prenumerata, intercyza, truskawka, tornado, Apeniny, pigwa, kuzyn, stonka, artyzm, strofy, ikra, laur.

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 158 nagrody książkowe otrzymują:

T. Szulc — Falenica, G. Sobota — Komorowo, J. Zaborowska — Kraków, M. Abramczewska — Krasnystaw, T. Szczudłowski — Lublin, A. Zajac — Łańcut, J. Chrzastowska — Milanówek, W. Sobiecki — Nowy Sącz, L. Kaszycki — Nowy Targ, E. Walczak — Pabianice, L. Smigielska — Płock, K. Maciołek — Poznań, R. Cham-ska — Puławy, J. Ślusarczyk — Raba Niżna, pow. Limanowa, K. Rolek — Skarżysko-Kamienna, J. Mola — Stalino-gród, W. Bielek — Tarnów, R. Rokicki — Warszawa, J. Postolska — Włocławek, E. Stachurski — Zakopane.

Rozwiązanie zadania z nr 159

Logogryf: Walka o pokój (warchlak, kwadrans, czwartek, podwozie, parawany — znaczenie tego wyrazu omył-

kowo opuszczono — archiwum, Warszawa, Piotrków, anatomia, karawana, amazonka, akwarium, Słowacki, ambulans, autograf, panorama, lusterko, albinosi, Celuloza, analogia, alkaloid, kordelas, karabela, żyrandol, kontrakt, akwarela, mikrofon, spektakl, aplikant, Barbakan, abstrakt, zawodnik, akustyka, bagatela, boazerie, ambasada, Bułgaria, adiutant, rezultat, steryna, operetka, południe, adorator, akrobata, dyskobol, parabola, astronom, Szczyt-no, paradoks, apelacja, kape-lusz, lampiony, parapety, szczupak, biszkopt, peryskop, operacja, poltura, opowieść, aprobata, starosta, antylopa, akordeon, mrowisko, kompa-nia, akademія, szkoldnik, pod-kłady, Przekrój, teleskop, modystka, dziennik, ówczes-ny, równobok, czółenko, wspólnie, próbówka, Łysogó-ry, przewrót, ósemkowy-wspak, jaskółka, zjawisko, bajadera, Chojnice, grzejnik, maciejka, Himalaje, przestój).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 159 nagrody książkowe otrzymują:
Z. Fiszbach — Ciałęż, pow. Września, B. Salwa — Elbląg, R. Sterna — Gliwice, M. Pa-cak — Łódź, J. Pasznik — Modrzewiec, pow. Białogard, J. Marek — Nowa Ruda, S. Iszczak — Nowy Sącz, J. Je-drzejowski — Przasnysz, K. Reguła — Ratusz, pow. Pszczyna, J. Zagrosik — Szczecin, K. Musiał — Szczecinek, F. Dogli — Toruń, T. Łukaszewicz, Z. Maślińska, J. Wituszyńska — Warszawa, W. Stępczewski — Wieliczka, E. Czarniecka, R. Meiser — Zabrze, Z. Mozyrko — Zmi-gród, Z. Polok — Zychlice.



Na lewo: płaszcz je-sienny z wełny lub sa-modziału, pomyślany w ten sposób, że zimą przy-pinamy do niego kołnierz futrzany i ciepłą podpin-kę.

Na prawo: jesienny płaszcz z flauszu szarego lub welwetu. Spódnica z tego samego materiału.

Dołem — trzy kurtki:

1) Z kraciastej wełny, zdecydowanie sportowa.

2) Elegancka kurtka-żakiet z futrzanym kołnierzem (ewentualnie podbita także futrem).

3) Dwie kurtki z flau-szu lub zamszu, koloro-we (zielone, niebieskie, czerwone).

Beret w tym samym kolorze. Spódnica kon-trastująca barwą.



TANIO i ŁADNIE

JONASZ

Dokończenie ze str. 21

ny obrastające brzeg Zalewu, w tym miejscu wąskiego jak nizinna rzeka. Zrobiło mi się cieplej, choć zaczęły mnie piec dłonie, coraz to odrywałem którąś z rąk, by w ten sposób zmniejszyć ból. W ciemnościach ledwie rysowały się na brzegu domki rybackie, potem wystrzeliły w niebo kominy cementowni w Lubinie.

Tarski pochylił się ku nam i nakazał pośpiech. Nie-spokojnie patrzył na przecierające się pierwszymi od-blaskami niebo. — Prędzej, bo może być za późno.

Czesław mocniej szarpnął wiosłem, poszedłem za je-go przykładem. Po chwili wiosłowania wyczułem pęcherze na rękach i pozdzierając naskórek. Bruzcie dłoni zaczęły mnie piec, pękł mi jeden z pęcherzy i rozlała się klejąca maź. Wiosło wydało mi się ciężkie i zbyt dłu-gie, błał mnie grzbiet. Czesław zaś miarowo zwiększał tempo, skrzybiały dulki w nocnej ciszy. Jęknąłem: „Nie mogę” i puściłem wiosło, Tarski klnąc schwylił za nie, nakazując Jasiowi ująć za ster. Przysiadłem na dzio-bie i zanurzysz rękę w chłodnej wodzie odczułem dreszcze.

Płynęliśmy korytem Starej Swiny, na odgłos wiosło-wania podrywały się z szuwarów dzikie kaczki z głoś-nym trzopotem skrzydeł wzbijając się w powietrze. Przed oczyma miałem łodzy szuwarów, nie widziałem nic poza nimi, płynęliśmy bowiem zbyt blisko brzegu, aby widzieć cokolwiek ponadto. Było mi zresztą wszyst-ko jedno, pragnąłem jak najszybciej znaleźć się na sta-łym lądzie. Skręciliśmy w boczną zatoczkę, jęzorem po-wierzchni wpijającą się w łąki. Tarski zachęcił Czesła-wa do wysiłku i łódź niebawem wbiła się w nadbrzeżny piasek. Wyskoczyłem czym prędzej, ale pośliznąwszy się wpadłem nogami w wodę.

— Ciszej — syknął Tarski, gdy krzyknąłem na pomoc. Wyskoczył z łodzi i nie zważając na mnie pobiegł przed siebie, rozsuwając nadbrzeżne szuwały i chwasty nad-miernie wybujałe. Jasio pozostał w łodzi. — Idziesz! — głośnym szepem przywołał mnie Czesław. Miałem wo-dę w butach i chlupotało mi, gdy biegłem z nim. Parę razy wsadziłem nogę w błoto i wydawało mi się, że pi-jawki czipeliły się nogi. Był to jednak zwyczajny kolec. Zaczęło się już powoli rozjaśniać, tak, że powoli rysowa-ły się kształty wysokiego drzewa, stojącego przed nami. Tarski szedł pierwszy, niemal czołgał się, po paru kro-kach dał znak, byśmy przystanęli, sam podszedł bliżej. Czekając na niego wylałem wodę z buta, gdy usłysza-łem syk Czesława. Z miny wywnioskowałem, że nie wszystko jest, jak należy. Patrzył na mnie z urazą stojąc wraz z Tarskim pod drzewem, na którym czerniło się duże gniazdo, uwite między gałęziami.

— Wiecie wy, Tarski, co to Jonasz? — powiedział głośno Czesław.

— To u marynarzy. Jegomość, który przynosi pecha, choćby nawet sam nie chciał.

— Widzicie, Tarski, Jonasz zdarzają się i na lądzie — powiedział z powagą, a nawet głębokim żalem Cze-sław, niedwuznacznie wskazując na mnie.

Skrzywiłem się, ale poddałem im myśl: — Jeżeli tam na drzewie jest skarb, to można by wdrapać się na czu-bek. Ja kiedyś nieźle chodziłem po drzewach...

— Bo wiadomo, że pochodzisz od małpy — dociał mi Czesław. Ale Tarskiemu moja odpowiedź nie spodobała się, niezadowolony kręcił głową i zastanawiał się. Wresz-cie oświadczył: — Nie ma co, wracamy. Czekać nie można, bo jak ludzi zobaczyć, to i tak nie przyleci.

— Kto?

— Jak to, kto? Wiadomo, orzeł morski. Birkut, bielik, wspaniały to okaz, jaki skarb! — zachwycił się rybak. Zezłościłem się. Więć po to mnie ciągną po jakichś bagnach, bym zobaczył orła, którego mogę zobaczyć w ogrodzie zoologicznym. Powiedziałem o tym Czesławo-wi, ale tak, by słyszał Tarski. Rybak popatrzył na mnie z ukosa i przerwał mi niegrzecznie.

— Panie, tu jeden taki był z Warszawy, profesorem go tytułowali. To on, żeby tego ptaka zobaczyć, dwa

dni w bagnach siedział i wilgoci, z aparatem fotograficz-nym, a obiektyw do niego miał długi jak ten łokieć — wskazał na swoje muskularne ramię. — Pijawki go cocięły, komary nie darowały, nie spał, ale orła zoba-“

— Słuchajcie, Tarski — powiedział spokojnie Czesław, kładąc mu dłoń na ramieniu. Zbieraliśmy się już do odejścia, słońce tryskało pierwszymi promieniami kłu-jąc w oczy światłem dziennym. — Szkoda każdego sło-wa. Przecież to Jonasz.

Wróciliśmy w grobowym nastroju. Milczeliśmy, tyl-ko skrzybiały dulki. Pożegnawszy Tarskiego, powlekliś-my się szosą do Międzyzdrojów. Czesław miał sińce pod oczyma z niewyspania i czerwone cętki świadczące o zetknięciu się z komarami. Mnie bolała głowa i piekły nadal dłonie.

Wieczorem Czesław wyjechał niespodziewanie. Otrzy-mał z zakładów telegram wzywający go do przerwania urlopu i powrotu. Kiedy wracałem z dworca zauważy-łem Ewę, która stała przy płocie i kiwała jeszcze komuś chusteczką trzymaną w ręku. Minę miała wesołą, choć oczy z lekką zaczerwienione.

Jesienią otrzymałem kartkę z Częstochowy. Poznałem pismo Czesława.

„Mój drogi, mimo wszystko zwracam Ci honor. Doszliśmy do prze-konania, że nie jesteś Jonaszem. A być może, jak twier-dzi Ewa, nawet przynosisz szczęście. Jestem co do tego skłonny Jej wierzyć. Ewa pracuje teraz w Minister-stwie Hutnictwa, aby być bliżej mnie, a ja już poważnie myślę o przeniesieniu się do huty „Warszawa”. Położo-no już tam fundamenty, więc niebawem i dla mnie znaj-dzie się praca.

Twój Czesław”

Odłożyłem kartkę. Po chwili sięgnąłem po nią, chcąc ją jeszcze raz przeczytać. Zauważyłem dopisek, ledwie czytelny.

„PS. Wiesz, Ewa gotuje zupełnie możliwie. Musisz spróbować!”

LESŁAW BARTELSKI

KONIEC

KUKRYNIKSY PROROKOW SOJFERTIS

WYSTAWA GRAFIKI RADZIECKIEJ, ZORGANIZOWANA W MIESIĄCU PRYJAZNI NA STARYM MIEŚCIE W WARSZAWIE, POZWOLI NAM LEPIEJ ZAZNAJOMIĆ SIĘ Z PRACAMI PLASTYKÓW RADZIECKICH. RÓŻNORODNOŚĆ TEMATÓW I TECHNIK SKŁADA SIĘ NA NIEZWYKLE BOGACTWO TEJ WYSTAWY. SATYRĘ REPREZENTUJĄ ZNAKOMICI MISTRZOWIE: KUKRYNIKSY, PROROKOW I SOJFERTIS, KTÓRYCH KILKA PRAC REPRODUKUJEMY OBOK.



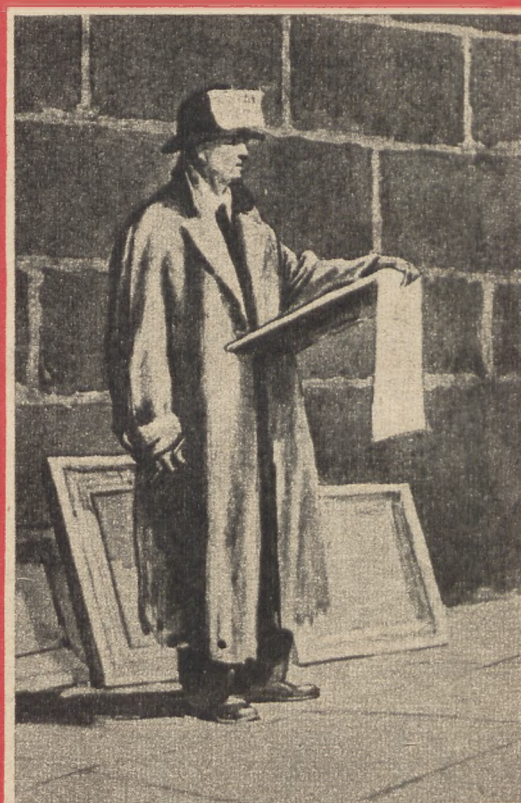
Kukryniksy
Cziczikow i Harriman w pogoni za martwymi duszami.



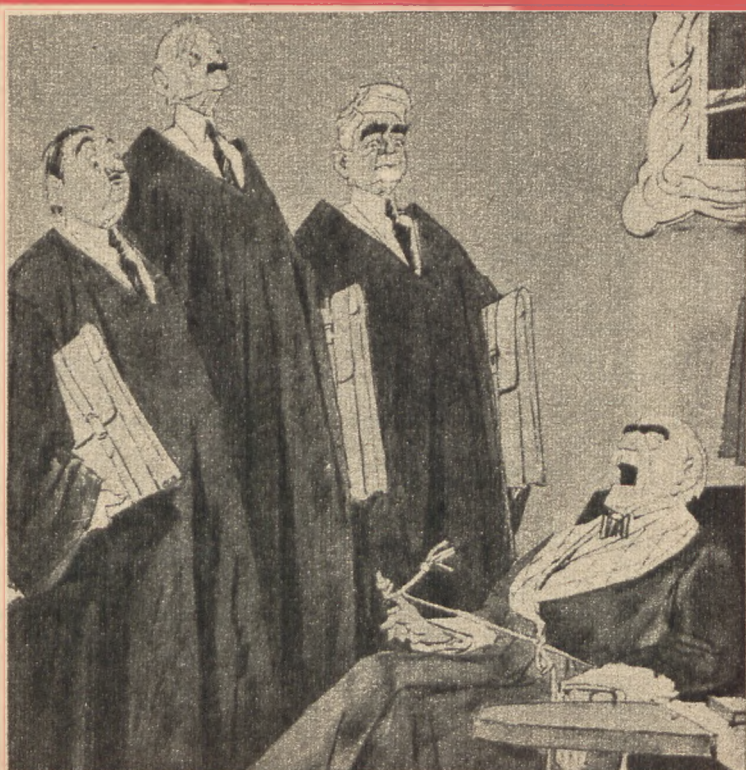
Kukryniksy
Kukła kuomintangowska



Prorokow
Amerykanie na przechadzce.



Prorokow
Z cyklu „Oto Ameryka”.
Pracownia na ulicy.



Sojfertis
Sąd udał się na naradę



Sojfertis
Jeden z wielu